



# BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

**B. BOLESŁAWITĘ.**

(Ciąg dalszy).

## LIII.

Gdy z bramy domu przy Bielańskiej ulicy wychodziły dwie nieznajome kobiety, z których przytomniejsza i silniejsza słabszą i wzruszoną towarzyszkę podtrzymywać musiała — z przeciwka, od wgłębienia w murze oderwał się jakby cień. Był to mężczyzna słusznego wzrostu obwinięty płaszczem czarnym, w kapeluszu na oczy nasuniętym. Zdala popatrzył bacznie na kobiety, śledził je czas jakiś oczyma, potem ostrożnie i powoli tuląc się do murów, znikł między domami. Dwie nieznajome przesunęły się nie postrzegłszy, że były śledzone, do kościoła ks. Kapucynów.

Ulica Miodowa przedstawiała jeszcze dziwny widok, przypominający niedawno ubiegłe wypadki; kościół stał otwarty, oświetlony wewnątrz rzesisto, śpiewy zwycięzkie rozlegały się pod sklepieniami. Chrystus zmartwychwstał... Bóg sprawiedliwości — obrońca uciśnionych... co skruszył kajdany niewoli. Tuż obok, o kilka kroków naprzeciw z gruzów pałacu, który niedawno zamieszkiwał Igelstrom, wyciągano trupy, oczyszczano z ruin ulicę. Na przyległych murach widne jeszcze były blizny od kul, czarne plamy od ognia i krwawe dłonie rannych, co padając ścian się chwytały. Pospólstwo cisnące się do kościoła, krążyło około tego gniazda warcząc... wiatr roznosił szczątki nadpalonych papierów jakichś... Rozłożone ognisko, przy którym stała straż, oświecało tę scenę.

W czarnych otworach okien zrujnowanego domu, porozdzieranych wystrzałami, gdzieniegdzie kołysała się reszta ramy ze szczękiem szkła i szmat podartej firanki. Żywej teraz duszy nie było w tym pałacu, który niedawno panna Warszawa i posyłał na zamek królowi rozkazy.

Kobiety spojrzawszy ledwie na świeżą ruinę, wcisnęły się do kościoła, wmieszały w tłum i znikły w nim.

W kilka godzin potem, po rezurekcji, gdy wszyscy wrócili z kościołów, w pałacu Księcia Wojewody wszystko usypiało, bramy były pozamykane, w oknach nie widać światła, służba odeszła do suterenu. W podwórzu tylko wartownicy i stróże przechadzali się gwarząc o wczorajszych wypadkach.

W tem ze skrzydła prawego, które zajmował Książę Wojewoda, przesunęło się światło przez cały szereg komnat, których okna czarne na dziedziniec wychodziły, i znikło w przeciwnym końcu, zajmowanym przez Ks. Wojewodzinę.

Księżna modliła się jeszcze przy kłęczniku... gdy lekko zapukano do drzwi sypialni... Odwróciła głowę przelekła, gdyż o tej godzinie niezwykle Wojewoda nie przychodził nigdy... a on tylko mógł się tak oznajmić... W istocie Książę Wojewoda w czarnej sukni z lampką w ręku pokazał się na progu.

Nic nie mówiąc światło postawił na stoliku.



— Przepraszam za spóźnione odwiedziny — rzekł — ale mam do pomówienia z Waszą Ks. Mością.

— Wprzód z Bogiem — odparła kobiéta śmiało — skończę modlitwę.

Książę skłonił głowę, stał i czekał.

LIV.

Po chwili Księżna uderzywszy się w piersi wstała z klęcznika, i poważnie, spokojnie postąpiła ku środkowi pokoju.

— Słucham W. Ks. Mości.

— Mościa Księżno — rzekł Wojewoda, brew marszcząc — proszę usiąść, dłużej z sobą pomówić będziemy musieli, rozmowa mogłaby (zwłaszcza po trudach dnia dzisiejszego) zbytecznie W. Ks. Mość znużyć.

Księżna milcząc usiadła w krzesło.

— Jest temu lat blisko trzydziestu — począł Wojewoda — gdy miał... szczęście W. Ks. Mość poślubić... Spłynęły one w pokoju... na pozór... w tem co ludzie nazywają niezakłóconą pomyślnością... ale dla mnie, wyznam... były to długie trzydzieści lat męczarni.

— Mości Książę — przerwała kobiéta, podnosząc oczy zapłakane... i jabył może coś mogła o tem powiedzieć.

— Bardzo być może — ciągnął dalej Wojewoda — znałem czasy i obyczaje, gdy się zenił. Ostatni z rodu, złamałszy niepotrzebnie uczynione Bogu śluby, musiałem się zenić, aby moje imię nie zgasło... zapomniawszy, że nie jest w mocy człowieka zachować, co los nazaczył na zbugę!... Nie szukałem żony ani na dworze ani po pałacach, wziąłem Was z ubogiego dworku, abyś była godną małżonką i nosiła niepokalanem imię wielkie... które jej dałem.

— Czy masz mi W. Ks. Mość co do wyrzucenia? — spytała Księżna.

— Ja? nie — ale sumienie wasze?

— Z sumienia i ja i Wy, Mości Książę, zdamy rachunek przed Bogiem...

— Tak... a z niesławy — przerwał Książę — a ze sromoty jawnej, przed ludźmi.

— Z niesławy? z sromoty? — powtórzyła kobiéta...

— Tak, nie omyliłem się — mówił dalej Wojewoda — z niesławy! powtarzam. Wszakże milczałam do dziś dnia... ale wiedziałem i wiem... wszystko... Wiem że zostałem zdradzony, że występna miłość silniejszą była nad surową czujność moją... Jakkolwiek zręcznie starałaś się pani ukryć światu swoją i moją hańbę — byli ludzie co o niej wiedzieli... do tych ja się też liczę. Temu co mi wydarł wiarę w jej serce, sławę, spokój — ja wydarłem — życie. Ukaralem go tak, jakby go ukarał sąd, gdyby hańbę przed trybunał wlec można. Tego się pani musiałaś dawno domyślać, że ja, nie kto inny, był wykonawcą wyroku... Tak... Swoboda padł pod moim sztyletem. Ten sztylet, o którym tyle mówiono, pani jedna go poznać mogłaś, boś

go dawniej znała... Znalazłem zdrajcę samym... było to w nocy... powtarzał pewnie tę pieśń, którą serce W. Ks. Mości pozyskał... nie bronił mi się, nastawił sam piersi — żał mi nawet było tego biedaka... alem musiał dopełnić wymiaru sprawiedliwości... szło o sławę imienia... Żyjąc, byłby dla mnie i dla was wieczną groźbą... Zniszczyłem wszystko co mogłem... jednego dziecięcia życie ocalało... Wiedziałem, że ono zostało ukryte... nie mogłem dośledzić, gdzie je doktor L... oddał na wychowanie.

Dziękuję W. Ks. Mości, żeś mnie sama naprowadziła na drogę, a raczej mściwy Bóg, który na twarzy tego dziecięcia napisał niezmazane świadectwo jego pochodzenia.

Księżna zerwała się na te słowa z siedzenia, blada, drżąca — ale ze lwią odwagą w oczach błyszczących. Drżała raczej z gniewu niż z obawy.

— Zabójco! — zawołała gwałtownie — jeżeli włos spadnie z głowy tego dziecka niewinnego — ród twój i ciebie okryję sromotą, dowiodę twej zbrodni, świadczyć pójdę przeciw tobie... zginiesz jak on!

Książę na ten wybuch, niewzruszony uśmiechnął się zimno.

— W mojej mocy jest — rzekł — do takiego szaleństwa was nie dopuścić... mam tysiąc sposobów zamknąć wam usta na wieki, nim pierwsze wyrzekną słowo.

Księżna z krzykiem rzuciła się ku drzwiom przeciwnym, Wojewoda wstrzymał ją chwytając silnie za rękę i gwałtem posadził w krzesło.

— Groźb się nie boję — rzekł — jesteś w mojem ręku, a że skrupułów nie mam, gdzie idzie o sławę rodu — dowiodłem.

— Dziecko moje! córko moja! — szlochała matka zrozpaczona, klękając przed Wojewodą... Czego chcesz odemnie? ażeby umarła? Weź życie, weź... zatrąłeś mi je całe... Ocal tylko tę niewinną istotę... Jam grzeszna, jam występna... niech się nademną spełni sprawiedliwość.

Wojewoda stał patrząc niemy, coś jak łąza błyskała w jego oku szklistem, poglądał długo, potem myśląc, przeszedł po pokoju... ręce załamał.

— Kobiéto — zawołał stając przed nią głosem ponurym — tyś mnie zrobiła zabójcą! tyś spokojne życie moje zmieniła na długą męczarnię... tak... ale i ty nie jesteś winna! Jam winien że złamałem śluby, Bóg się pomścił. Ciężko coś na tym rodzie, który we mnie ostatnim miał zagasnąć... Małżeństwo było świętokradzkim... Winnaś i niewinna, jam występny i szalony... Pocem cię brał płaczącą, wiedząc że serca mieć nie będę — zamknąłem cię, stałaś się ofiarą a ja katem. Ale trzeba dopić kielich do dna, nie mogę pozwolić, aby na mnie ostatnim to imię okryło się plamą... dość że je całun okryje... nie pozwolę, ażeby ludzie wskazywali palcem to dziecię i mówili urągając się po cichu... to dziecko wiarołomnej kobiety... i dodali może... a mąż był zabójcą.



Rozśmiał się dziko.

— Nie — ona żyć nie powinna.

— Ona żyć będzie! — zawołała Księżna — plama! ta plama na mnie! ja ją zmyję pokutą, łzami, śmiercią jeżeli potrzeba... ale dziecię moje... ono żyć będzie.

Wojewoda stał, patrzył, słuchał...

— Już jeden ten cień zboczony chodzi za mną...—rzekł po chwili — widzę go... czuję... śni mi się, gdy bezbronnemu w obnażone piersi wbilem sztylet... z tą raną krwawą uśmiechający się chodzi za mną prosząc przebaczenia... tyle lat... stoi nad łóżem mojem z piersią, po której struga krwi płynie. Nie — niechęć starej dłoni znów broczyć krwią... jeszcze krwią... dosyć... Ale nie zniosę, by mi hańbą plwano w oczy... by posądzenie nawet padło na tę, która nosi imię moje.

Przebłagałaś mnie, niech żyje... mam litość nad występniem macierzyństwem twojem... lecz więcej go widzieć nie będziesz.

Nie chcę się mścić, chciałbym móżdż ci przebaczyć... Możesz mu okupić życie.

— Czem! mów! — zawołała Wojewodzina.

Księżę wziął krucyfiks ze stolika.

— Przysięż mi na rany tego, który dziś zmartwychwstał, że więcej widzieć jej starać się nie będziesz... że jej nie zobaczysz...

Wojewodzina szybko pochwyciła krzyż.

— Przysięgam ci — zawołała — przysięgam, że szukać jej, że starać się o to nie będę, dotrzymam przysięgi, lecz jeżeli los...

— Przysięgaj — rzekł Wojewoda...

Księżna drżące ręce wyciągnęła na krzyżu i cichym głosem zawołała — „Przysięgam“.

Wojewoda krucyfiks postawił, nie mówiąc słowa ujął lampę, pochylił głowę i wyszedł z pokoju.

A smuga światła znowu przesunęła się z lewego skrzydła pałacu i znikła w oknach na prawo.

— Coś chodzi po tych pustych izbach! — mówili wartownicy w podwórzu — boć wszyscy ludzie śpią.

— W tych ich pałacach — dodał drugi starszy — zawsze coś straszy... i dziwy się dzieją... Wszyscy przeżegnali się z obawą i zamilkli.

#### LV.

Po wyjściu nieznanym kobiecie, Hela której wzruszenie słowa wyrzec nie dozwalało, ukłękła się modlić. Ona i Ksawerowa płakały, tajemnicze te odwiedziny, czułość dla Heleny tej, w której się domyślali matki, zniknięcie bez śladu i opowiedzenia o sobie... zaniepokoiły je biedne... Wypadek ten przynosił nieco pociechy, ale nic w przyszłości nie rozjaśniał, ciemności jak przedtem pokrywały los sieroty. Ksawerowa znalazła w pozostawionym woreczku znacznieszą pomoc, niżeli spodziewać się mogła.

Zapewniała ona jeżeli nie byt Heleny, to na długo przynajmniej utrzymanie się bez zbytnej troski o niedostatek.

Mówiąc o tem, Ksawerowa przyznała się dopiero po raz pierwszy Helenie, że po jej porwaniu podrzucone zostały pieniądze, których ona tknąć nie śmiała... Z chwili, w której się tajemniczo znalazły z owem pudełkiem w mieszkaniu, wnosić było można, iż przysłane zostały przez generała Puzonowa, który nieczny swój czyn chciał po moskiewsku pieniędzmi wynagrodzić. Nie można było tknąć tego ohydneho podarku. Ksawerowa wiedziała teraz o niecznej roli, jaką jej siostra odegrała w tej sprawie, tem występniejszą będąc, że w początku Helenę uważała za siostrzenicę. Umówiły się więc natychmiast, aby generała dątek, przez Starościnę lub za jej pośrednictwem, zwrócić mu...

Ksawerowę kosztowało wiele zebranie się na krok stanowczy, na widzenie się z tą siostrą, ale piekły ją pieniądze, chciała się od nich uwolnić co najrychlej i postanowiła pójść sama, a jeżeli nie potrafi zwrócić Moskałowi, oddać je ubogim lub ojczyźnie.

Każdy przybywający teraz do Betiny, zastawał ją z pewnością w salonie, nieopuszczała go bowiem przez dzień cały, stojąc na czatach i mrąc z obawy o siebie. Każde drzwi otwarcie nabawiało ją śmiertelnym strachem. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiło ukazanie się siostry, Starościna pobladła, oparła się o krzesło, straciła przytomność i odwagę.

Wdowa weszła śmiało.

— Poznajesz mnie waćpani — spytała surowo.

— Tak... pani... przypominam sobie, zdaje mi się... — mruzczała Starościna, usiłując zbadać trwożliwie jej usposobienie.

— Nie potrzebuję ci nawet mówić, z czem przychodzę—odezwiała się Ksawerowa— z pogardą, z przekleństwem, na które zasługujesz... Taką jaką byłaś od młodu, gdyśmy się siebie wszyscy zaprzeć musieli, pozostałaś do dziś dnia. Nie! stałaś się jeszcze stokroć występniejszą teraz. Młodość i niedoświadczenie mogły być niejaka wymówka, nieczne twe postępowanie dzisiejsze jest niegodziwością nieprzebaczoną. Nie masz, nie możesz nic mieć na swoją obronę. Popełniasz zło z nałogu, z zepsucia. Pchnęłaś i mnie w tę przepaść wrywając mi dziecię. Com ci zrobiła? powiedz!

— Ale ja... jam niewinna...

— Milczże waćpani... żadne słowo i żadna pokuta nie jest cię w stanie oczyścić. Ale Bóg, Bóg jest sprawiedliwy! Nieczny twój współnik w tym czynie, za który karzą szubienicą i chłostą publiczną... rzucił mi bezczeszczący dar... pieniądze! Myślał zapewne, że jako siostra twoja podobną jestem do ciebie... Gdzie jest ten człowiek? — mów.

— Ja nie wiem — odparła drżąca Betina—ja nie wiem... ja ci się kłnę.



— Gdybym nieznała ciebie, oddałabym te pieniądze w ręce twoje — mówiła Ksawerowa — ale nie mogę tego uczynić, bobyś mogła zatrzymać je a piąkę zostawić na mnie. Niechże wie, jeżeli żyje — i wiedz ty, że dziś jeszcze odniosę je na ratusz jako ofiarę na potrzeby kraju.

To powiedziawszy, Ksawerowa odwróciła się ze wzgardą i chciała wyjść.

— Siostro! pani siostro! — zawołała Starościna — ale proszę was... jam niczemu nie winna... to ten Moskał niegodziwy... ten zwierz... od którego obronić jej nie mogłam...

Ksawerowa spojrzała na nią z niewysłowionym wyrazem obrzydzenia i milcząc drzwi zatrzasnęła za sobą.

Zaledwie wyszła, zapukano natychmiast, zjawił się Sojka z towarzyszem, domagając widzenia z generałem. Starościna musiała ich wpuścić.

— Chwili nie ma do stracenia — rzekł przybyły — prowadź mnie pani do niego.

— Zlituj się! co się stało!

— Jeszcze nic, ale może się stać...

Pokazał palcem na gardło.

Starościna krzyknęła zakrywając oczy, a Sojka pobiegł sam żywo do kryjówki generała, do której drogę już wiedział...

Znalazł go jak zwykle obojętnym, na pozór spokojnym, zadumanym nad papierami... z ołówkiem w ręku.

— Panie generale — rzekł Sojka od progu... może to popłoch daremny, ale mi się zdaje, że wpadli na trop wasz, potrzeba się natychmiast przebrać i ztąd wynosić... Strzeżono już kilka domów szukając, mogą tu za chwilę przyjść, nie ma na co czekać.

Puzonów wstał żywo i usiadł po namyśle.

— Gdzie ja tam będę szukał nowych kryjówek? — rzekł z gniewem. — Cóż mi oni zrobić mogą? wezmą mnie w niewolę, no — to wezmą. Zdrajcą nie jestem, bom Moskał i mojej carowej służę. Juścić nie mogą mnie powiesić... a więzienie... zniosę. Pal ich diabli! Jak złodziej ukrywać się nie chcę, a zostać tu w Warszawie muszę... dałem znać już, iż tu będę do końca. Z więzienia pilnować ich będę, więc siedzę i zostanę.

Sojka pokiwał głową. To dobrze — rzekł — zostaniecie ale nie tu — niechno się pan generał ubiera.

Puzonów spojrzał i posłuszny począł się żywo przyodziewać, narzucił płaszcz, czapkę głęboko na oczy nasunął...

— Dokądże mnie poprowadzisz? — zapytał.

— Masz do wyboru panie generale trzy miejsca — odparł Sojka — wszystkie bezpieczniejsze niż tu... u najzagorzalszych patriotów, bo właśnie tam tylko jest pewność, że szukać nie będą.

— A na zamku? — spytał Puzonów.

Sojka się rozśmiał machając ręką.

— Tamby pana król JMość przyjąć pewno nie mógł i nie chciał... i ztamtądby też najprędzej was wyciągnięto. Zamku strzeże gwardya miejska... króla tak obwinęli w pieluszki, że się nie ruszy... pilnują go, by nie drapnął do Petersburga...

— Więc w drogę — zawołał Puzonów — idźmy, prowadźcie.

— Ja was pod rękę wezmę — dodał Sojka... Do czapki kokardę przypiąć trzeba, którą w kieszeni przyniosłem... Gdybyśmy się z kim spotkali, nie odzywaj się WMość... po drodze puścimy fusa, że jesteście czeladnikiem ślusarskim, rannym d. 18. przy Miodowej, to nas w tryumfie przeprowadzą.

Niecierpliwie zzymnął się Puzonów.

— Chodźmy.

Starościna z podziwieniem ujrzała wychodzącego Puzonowa, zabiegła mu drogę. — A to dokąd?

— W świat — uśmiechnął się generał — bywaj jejmość zdrowa, sądzę, że się za to gniewać nie będziesz, iż mnie zabierają... dopiero wolniej odetchniesz...

Starościna w istocie radości ukryć nie mogła, choć chciała udąć smutek.

— Ale dokądże? dokąd?

— Poźniej się waćpani o tem dowiesz — odpowiedział Puzonów... teraz tylko słowo jeszcze... Sojko przyjacielu, idź precz za drzwi na chwilę, mam do pomówienia z panią i wnet pośpieszę. Minuta czasu.

Zostali sami, generał chmurny przeszedł się po pokoju, jakby zbierał od czego począć.

— To co waćpani powiem — odezwał się — zadziwi ją, bo ja sam dziwuję się, nie poznając w tem siebie... Wiesz Starościno, rozumiesz ty to... uwierzysz... iż tak jestem głupi, podły, że się w tej kobiecie kocham do szaleństwa.

Ja bez niej żyć nie potrafię.

W początkach sam to brałem lekko, dziś czuję, że zwyciężony... żal mi, mam zgrzyoty... zresztą — kocham się... muszę ją mieć! Ona będzie moją!

— Dajże mi już pokój! Ona cię nienawidzi... ja wiedzieć o tem nie chcę — przerwała Starościna — rób sobie co chcesz, ja się w to niewdam.

Powtarzam — nienawidzi cię.

— To nieszczęście — rzekł generał — ale mnie nie wstrzyma nic. Ona nienawidzi — ja kocham... Zginę ale ją muszę odzyskać...

— Jakim sposobem? — spytała Starościna.

— Najprostszym — rzekł Puzonów stanowczo — więcej wymagać nie może — jestem gotów... gotów — słyszysz! ożenić się!

Starościna krokiem się cofnęła zdziwiona.

— Ty? zkądże ci to przyszło?

— Zkąd? nie wiem — dodał generał — może z tego, że podobnej do niej kobiety nie znał i nie wyobrażał



sobie... Znałem nasze i wasze panie wielkie... no... i takie jak wy, Starościno... takiej jak ona... nigdy! Kilka dni przeżytych z nią... okrutnych, bolesnych, upokarzających dla mnie — dały mi ją poznać. Nie powstydzilibym się jej za żonę... to towarzyska godna żołnierza... to...

— Jenerale — przerwała Starościna z gniewem prawie — widać żeś wiele krwi stracił, masz gorączkę, pleciesz tak, żeś do siebie niepodobny.

— Nie mam ani nadziei, ani pretensji, żebyś waćpani mnie zrozumiała — rzekł Puzonów — to mi wszystko jedno. Chcę tylko żebyś, jeżeli ją zobaczysz, powiedziała oedemnie, że mi wstyd mojego szaleństwa, a gotowym je okupić, ofiarując jej imię moje i rękę... Czy rozumiesz Waćpani?

Starościna stała osłupiona.

— Nie żartujesz? — spytała — słowo?

— Słowo uczciwego człowieka — powtórzył jenerał — żenię się.

— Gotów byś był?

— Jestem gotów.

— Każesz mi to jej powiedzieć?

— Proszę usilnie.

— Ale mi nie uwierzą! Daj mi jakiś znak...

— Znak? Jenerał obejrzał się po sobie... i żywo zdjął pierścień z palca.

— Oto jest — odparł — i obrócił się ku drzwiom wolażąc na Sojkę.

— Idziemy. Znasz waćpani tego człowieka, przyszlę go tu, aby się dowiadywał... i przez niego dam wam znać o sobie. Jestem w Warszawie kontrabandą, mogę być zagrożony, jutro może mi włożą kajdany... ale pomimo to, jeżeli się im wysłiznę, pozajutro mieć będę lepszą policję od nich i nie dopuszczę, ażeby mi Helena uszła... Waćpani nad nią straż polecam... reszta później.

— Jenerale, idźmy! — naglił Sojka.

Puzonów podał rękę Starościnnie.

— Bywaj zdrowa i pamiętaj, że umiem być wdzięcznym, ale potrafię i zemścić się, gdy mnie kto zdradzi... Do widzenia...

## LVI.

Jenerał wyszedł ze swemi akolytami. Betina stała z pierścieniem w ręku rozmyślając.

— Otóż to szczęście ludzkie — mówiła w duchu — gotów się z nią ożenić! Czém na ten los zasłużyła? nierozumiem.

Ale dobrze! — dodała — przekonam teraz siostrę, że tak złą nie jestem.

Porwała szal, zarzuciła go na ramiona i zdyszana wbiegła na drugie piętro.

Gdy się ukazała we drzwiach, zdala poznawszy ją

Ksawerowa krzyknęła. Obawiała się, aby jej nie zobaczyła Helena, której rana wywołała gorączkę i zmusiła się położyć. Dawała jej znaki, ażeby nie szła dalej.

— Czego waćpani chcesz od nas! nie wchodź, nie przyjmuję... nie mogę...

Starościna zaczerwiona, gniewna, zniosła to, ale drżąc ze złości, pozostała nie ruszając się krokiem.

— Mam do pomówienia z Heleną, nie z waćpanią — odparła — muszę się z nią widzieć.

— Nie można, ona leży w gorączce! — rzekła wdowa drzwi zapierając sobą.

— Tak? chciałam ją uratować! odpychacie mnie! Mniejsza o to, niech ginie! — zawołała kobieta.

— Uratować? jak? — spytała Ksawerowa.

Starościna przybrała postawę dumną.

— Słuchałam waćpani wyrzutów cierpliwie — rzekła żywo — dałam się bezcześcić pokornie... a przecież przekonaasz się waćpani, że jestem niewinną. Nie mogłam zapobiedz temu, co się stało, ale starałam się przynajmniej ratować honor dziewczyny i udało mi się to uczynić.

— Cóż to są za zagadki? — zawołała Ksawerowa — nie rozumiem.

— Wpuść że mnie waćpani do pokoju.

Wdowa zawahała się. Niepodobna — rzekła — Helena leży w gorączce... lękam się wrażenia dla niej... już lepiej zejść do was.

— Nie wartam więc nawet waszego progu przestąpić! — szydersko ruszając ramionami szepnęła Starościna... Śliczna w istocie rzecz wasz szpital podrzutków! gdzie wielkie panie tajone dzieci oddają!

Ksawerowa zamilkła, na lzy się jej zbierało i na wybuch gniewu, ale się powstrzymała myśląc, że szło o Helenę. Zeszły więc obie milcząc.

— Słuchajże waćpani — dumnie i śmiało zaczęła Starościna wszedłszy do swego mieszkania — Mam tylko jedno do powiedzenia na uniewinnienie moje: oto ten człowiek, który ją uwiódł, kocha ją szczerze i z nią się — ożeni.

Ksawerowa patrzyła niedowierzając.

— Dał na to słowo — kończyła gospodyni — gdy Helena będzie zdrowszą, oddaj jej waćpani ten pierścionek na znak... i powiedz, że to mnie winna.

Ksawerowa nie śmiała dotknąć ani pierścienia ani ręki co go jej podawała.

— Któż jest ten niegodziwiec? — spytała.

— Jest jenerałem, jest bogaty... ma imię... nigdy podobnego losu podrzutek jakiś nie mógł się spodziewać.

— Jak się on zowie!

— Puzonów.

— Moskal! — krzyknęła ręce łamiąc wdowa — Moskal! szyzmatyk!

Starościna ruszyła ramionami.

— No to cóż! — spytała — nie idą za mąż za szyzma-



tyków! Człowiek przecie, i że poczciwy człowiek dowodzi to, co czyni dla niej, drugiby pewnie...

— Ale Moskal! — powtórzyła Ksawerowa, i zakrywając oczy zaszła się od płaczu.

— Lepiej więc żeby została... tak jak jest, niż by poszła za Moskala? — zapytała Starościna szydersko — No! to jak się podoba!

Ksawerowa płacząc ciągle, padła na krzesło, sił jej brakło, w głowie się płątało.

— A! siostró! siostró! — zawołała pierwszy raz mianując ją tem imieniem, którego od dzieciństwa nie wymówiła — siostró! w jakiejże chwili się spotykamy. Dlaczego córka poczciwego ojca, poszłaś tą drogą hańby i niesławy!

Polka i przyjaciółka Moskali.

Imię siostry wzruszyło Starościnę, rzuciła się jakby ją w serce ubodło — uczuła się zawstydzoną, dotkniętą.

— Albożem ja sobie obrała to życie? — odezwała się zakrywając sobie oczy — albożem winna, że mnie los rzucił w tę otchłań, z której się nie wyrwie nigdy, kto raz wpadł na dno? Dzieckiem uwiodł mnie człowiek niegodziwy, sierotą opuścili mnie wszyscy. Nikt wówczas gdy padła, ręki nie podał, nikt z was litości nie miał nademną. Poszłam sama... byłam dumna, musiałam zwrócić się do tych, co mnie nie odpychali. Com ja winna! Czy ty siostra przyszłaś choć raz do mnie ze słowem pociechy i radą? czy mi kto rzucił czem innem jak w twarz i serce przekleństwem? — Nikt! nikt! wszyscy odwrócili się odemnie... Igraszka ludzi plunęłam im w oczy, światu... wszystkim! Myślisz że byłam szczęśliwą? że zdrętwiała i pozbawiona czucia jedną miałam chwilę spokoju?

Ksawerowa spuściła głowę, czuła się wzruszona litością — łzy z powiek pociekły.

— A miałaś choć chwilę żalu? — spytała.

— Za późno! — rzekła Starościna — kłamać ci nie chcę — za późno. Nie wierzę w nic już, co na świecie jest, ino w Boga... który mi może przebaczy, bo on jeden rozdrzeć potrafi na pół winy moje i włoży ich połowę na tych, co byli więcej niż współnikami moimi — bo sprawcami. Patrz na mnie — rzekła — ja starzeję... ja w tem piekle przeżyłam lat dwadzieścia... a przez ten czas nie słyszałam ino pochlebstwa i fałszy... nic poczciwego od ludzi... Ty pytasz zgryzoty i żalu, ja mam tylko pragnienie zemsty...

I Starościna także płakać zaczęła...

Ksawerowa odezwała się.

— Niech cię Bóg sędzi... twoje grzechy to rachunek twój... ale to dziecko, które prowadziłaś do zguby!

Starościna rzuciła ręką.

— A czemu nie mają wszyscy ginąć ze mną! — Czem ona lepsza?

Winnam — dodała — wyznaję, tak! ale nie pchnęłam nigdy nikogo do zguby... Jeden raz chciałam się po-

mścić na tobie... tak — na tobie! Myślałam, że jest córka twoją... tyś mną pogardziła, hańbą rzuciłam ci w oczy.

— Kobieto? i ty się do tego przyznajesz?

— Tak... — odparła Starościna — a z tej winy oczyszcza mnie los... bo ten człowiek z nią się zeni... Ja go znam, on to powiedział i — spełni...

— Więc jest dotąd w Warszawie?

— Był przed chwilą — teraz — już nie wiem... Ksawerowa wstała, wzięła pierścień z rąk siostry... Starościna była tak po raz pierwszy w życiu wzruszoną, że uknęła przed nią. Siostró! — zawołała — nie rzucaj kamieniem! przebac mi...

— Niech ci Bóg przebaczy — odparła Ksawerowa cicho — Kazał Pan nasz... ja ci mój żal daruję dla ran jego. I wyszła żywo.

## LVII.

Powróciwszy zastała Helę przy Julce. Dziecięcium zdawało się być znowu gorzej pod wieczór. Zapominając o swym bólu, starsza kłęczała przy niej, kołysała głowę jej na rękę i usypiała jak niemowlę. Był to jedyny sposób uspokojenia dziewczeczki, — bo ta tak kochała Helę, że każde jej dotknięcie cudownie jej cierpienie łagodziło.

Z twarzy Ksawerowej poznać było można, iż przychodziła z czemś ważnem a smutnem, oczy miała jeszcze łez pełne, zaczerwienione od płaczu, szła osłabła i padła przy łóżku. W rękę jeszcze trzymała ten pierścień, z którym nie wiedziała co uczynić — nie śmiała rzec słowa.

Wszystkie te wypadki nadzwyczajne tak szybko następujące po sobie, wycieńczyły ją — wzruszenie, przestrasz, radość na przemiany — wyczerpały biedną. Na Helenie mimo posępnej twarzy znać było tylko spotęgowaną energię, brew miała zmarszczoną, ale z pod niej ogień tryskał z oczów. Milcząca była, pogrążona... zdawało się jednak, że jakieś postanowienie niewzruszone tkwiło w niej i dawało siły.

Julka usnęła, noc już była, dwie kobiety wyszły na palcach do pierwszej izby. Tu od godzin kilku nietknięta stała wieczerza. Ksawerową, wskazała ją Heli. Jédz — rzekła — musisz być głodną.

— Nie, nie! — odpowiedziała Helena — wy jedźcie, wam więcej sił potrzeba... mnie trawi gorączka... mnie się w głowie zawraca... ja głodem przemożę chorobę. Napiję się wody to — dosyć.

— Heleno moja! o! szanuj się — szepnęła Ksawerowa — tyś wszystkim dla nas! ja się tak boję o ciebie.

— Tak! pragnęłabym żyć tylko dla was! dla was — mówiła Hela — sobie i ludziom innym jam nie potrzebna... Cięży mi życie... ale wam winnam wiele... żyć muszę... Inaczej, o! inaczej!

— Zlituj się, na Boga! a religia!



— A! nie lękajcie się samobójstwa! — z uśmiechem odparło dziewczę — nie! wiem że co Bóg ześle mi, tom znosić powinna; ale choć skalana, dla ojczyzny mogę dać życie moje... W tych dniach spróbowałam męstwa i siły... wdzieję mundur żołnierza i pójdę... bić się z Moskałami.

Wdowa zakrzyknęła...

— Co ci się dzieje! kobiéta!

— Kobiéta! dlaczegóż nie? Były przykłady kobiet walecznych... Kobiéta, która ma brata, męża, matkę, ojca, dziecię... o! tej potrzeba zostać u kołyski i ogniska... ale mnie?... mamże co lepszego do zrobienia?

— A ten człowiek... którego ukochałaś, który kocha ciebie.

Helena krzyknęła.

— Ten człowiek! a! nie wspominajcie o nim... między nim a mną jest już nieprzebyta przepaść... cudzy występpek, który stał się plamą moją... Nigdy nie oddałabym mu ręki — i nie zobaczę go więcej... to marzenie na zawsze... zniszczone... Matko! zaklinam cię, nie mów, nie wspominaj mi o nim więcej... bo mi serce pęknie... Bóg przeznaczył... stało się...

Na te słowa Ksawerowa wstała, pocałowała ją w czoło i rzekła.

— Masz dosyć męstwa i siły, byśmy pomówiły z sobą?

— O czemże matko?

— O tobie i twym losie...

— O mnie? wszak wypowiedziałyśmy już wszystko... wszystko!

— Nie Heleno, ja mam do ciebie zlecenie, ale zaklinam cię, pozwól mi wypowiedzieć ci je całe... nie przerywaj mi...

Byłam u Starościnej...

— Ty? u niej?

— Ja! tak! słuchaj! padła mi do nóg, płakałyśmy... Od niej przynoszę ci środek... zmycia tej plamy, która nie na tobie ale na nim leży... Ten człowiek żyje, żałuje, kocha cię, i ofiaruje ożenić się z tobą.

Helena wzdrygnawszy się — cofnęła zakrywając oczy.

— O! to kłamstwo — zawołała — ta kobiéta fałszem jest cała... Człowiek co mógł tak postąpić jak on, nie może tego powiedzieć, co on przyrzeka. To być nie może.

— A gdyby tak było?

— Gdyby tak było! — powtórzyła Helena — naówczas zmuszona pójść do ołtarza, poszłabym naprzód do ślubu, a nazajutrz z karabinem do obozu... aby zginąć...

Nastąpiło długie milczenie.

— Dlatego, że mnie podstęp i zdrada oddały w jego ręce, mam na tortury całego życia być skazaną z człowiekiem, którym pogardzam? Ślub wraca mi cześć — ale mi nie odbierze wspomnienia upokarzającego... dzielącego nas... na wieki.

Wdowa podała jej pierścień.

— Oto masz pierścień na znak od niego, iż słowa swego gotów jest dotrzymać, jak skoro będzie mógł się jawnie pokazać.

Helena wzięła pierścień, popatrzyła nań dziko, oczy jej zajaśniały.

— Niech się tak stanie... dobrze — rzekła — gotowam... Cześć dla kobiety skarb najwyższy... potem... zobaczymy... uczynię co serce natchnie...

— Ale ty nas nie opuścisz!

— Dopóki, dopóki tylko będę mogła! — odpowiedziała Helena smutnie... ale miejcie litość nademną! Ja tak żyć nie mogę! dla mnie to życie będzie męczarnią... a śmierć za ojczyznę!...

### LVIII.

Nigdy może stolica nie była tak rozgorączkowaną, nie żyła takim zapałem i ogniem, jak w dniach, które dzieliły od wybuchu powstania, zbliżenie się wojsk polskich z Kościuszką pod Warszawę. Napływ ludzi ze wszystkich prowincyi był ogromny, gotowość do ofiar niezmierna, wrzały umysły, serca otwierały się nadziejom. Co chwila dotąd pomyślne nadchodziły wieści, codzień ktoś od obozu i naczelnika przybywał. W mieście wrzało... zamek tylko królewski stał niemy, opuszczony, osamotniały. Dawni nawet przyjaciele poufali, dworscy odstępowali go i kryli się pod różnemi pozorami po niedostępnych kątach... Mała — bardzo mała garstka wiernych niedoli — została przy królu, który w istocie politowania był godnym. Położenie jego mimowolne nasuwało porównania z Ludwikiem XVI. w chwili, gdy ten jeszcze był zmuszonym trzymać z rewolucją otwarcie a potajemnie zmawiał się z Austrią i koalicją. Tak teraz Stanisław August potakiwał wysłańcom narodu, korespondując potajemnie z Moskwą, której pomocy wzywał, wdychając by wojska carowej zwyciężyły... tak samo tu obawiano się jego ucieczki do nieprzyjacielskiego obozu, jak w Paryżu Ludwika za granicę, tak samo jak z Varennes Capet'a, odprowadzono Poniatowskiego z Pragi posądzając go o zamiar ujęcia.

Nie dziw że Poniatowski przypominając los Ludwika, na odgłos wrzawy mógł się nieraz obawiać o życie swoje. Przyjaciele jego najpoufalsi ostatniej godziny poginęli śmiercią gwałtowną... nie można było jutro procesu mu rozwinąć i skazać...

Ale Poniatowski drząc, ufał jednak szlachetnemu uczuciu Polski całej, która się chlubiła tem, wskazując swe dzieje, że się żaden z jej synów królobójstwem nie zmasał.

Wśród tego zgielku ludzi, wrzawy, szału przygotowań wojennych, ginęły ruchy pojedynczych, ledwie dostrzeżonych małych człowieczków powszednich... korzystali z tego źli i dobrzy... a nieco ośmielona Moskwa, już na nowo nawiązywała nić tej siatki, którą kraj jak pająk osnuć miała.



Przyjaciele jej grali rolę patryotów głośno, a nieszczęśliwych ofiar po cichu.

Obraz tej epoki nie wchodzi w ciasne ramy naszej powieści... choć się oprzeć trudno czasem, by choć rożka zasłony nie uchylić.

Od ostatnich wypadków dość upłynęło czasu... ale w położeniu osób nas zajmujących, szczególnie Heleny, nic się prawie nie zmieniło.

Jenerał wiedział już przez Starościnę, iż Helena zgadza się na oddanie mu ręki.

Nie wychodząc prawie z domu... u łóżka siostry, bawiąc ją, zapominając troski wśród szczebiotów dziecka, spędziła ona dni te oczekiwania. Julka na przemiany gorzej to lepiej się mając, trzymała ciągle dwie opiekunki swe między nadzieją a rozpaczą, życiem a śmiercią.

Starościna, która teraz czasem schodziła do drzwi siostry, u progu kilka słów do niej przemówiła, dowiadywała się, co się z nią dzieje; starała się wypłacić za winy dawne życzliwością, na jaką zdobyć się umiała.

Jednego dnia, żywo jakoś zesza prosząc Ksawerowej do siebie.

— Moja kochana siostró — rzekła — jest coś, o czym przestrzedz cię muszę... Nie wiem i nie mogę tego zrozumieć, co to jest, a podejrzewam że się to musi tyczyć chyba Heleny. Ja, jak wiecie, ciągle czatuję w oknach, bo się boję! otóż uważałam, że tego domu zawsze jacyś ludzie pilnować się zdają... stoi ktoś na straży i nieustannie w wasze okna pogląda. Wychodzi kto z bramy, to mu zabiega drogę... Czasem jeden, czasem dwóch widzę na czatach. Posądzałam jenerała, ale to nie są jego ludzie... ktoś ich inny nasyła. Dom jest strzeżony... Juściż nie mnie pilnują... i co to być może nie wiem, ale z tego, coście mi opowiadali... co się domyślam... sądzę, że to o Helenę chodzi.

— O Helenę? — zapytała Ksawerowa — wątpię... dla czegożby na nią czatowano? Wprawdzie zagadka jej urodzenia jest niewyświeconą... ale... teraz, nie zdaje mi się żeby o tem myślano.

— Ja ostrzegam was tylko, z dobrego serca — rzekła Starościna.

Wdowa myślała długo, podziękowała grzecznie, ale zdało się jej, że to było przywidzenie, i nic o tem nawet Heli nie wspomniała.

Wypadki następowały po sobie szybko.

Puzonów ukrywający się ciągle w Warszawie, gdzie miał jakieś tajemne zlecenia, parę razy zjawiał się przebrany u Starościnej, zaklinając ją, aby mógł widzieć się z Heleną. Ale na wszystkie jego zaklęcia odpowiadała jednym stanowczem ciągle powtarzanem — „Nie zobaczymy się aż u ołtarza“.

Napróżne były wszelkie usiłowania. Jenerał gniewał się, błagał, nalegał, ale widząc w ostatku, że woli jej nie

złamać, przyszedł jednego dnia do Betiny z uwiadomieniem, iż umówił się z księdzem, który przyrzekł wieczorem dać im ślub, w oratorjum prywatnem na zamku królewskim. Dzień bliski był wyznaczony. Działo się to w jak najgłębszej tajemnicy. Wieczorem Hela, jak posąg błąda, nie pozwoiliwszy się inaczej ubrać do ślubu jak w suknię czarną, nie przypiąwszy wianka ni kwiatu, które z pewnym gniewem odrzuciła, i przewiązaną bo niezagojoną jeszcze ręką na temblaku... wyszła na ślub jakby szła na pogrzeb. W oczach jej niezwykła błyszczała energia.

Wyszędłszy z pokoiku swojego, rzuciła się do nóg Ksawerowej z płaczem prosząc o błogosławieństwo i zaklinając, aby jej towarzyszyła.

Potem udała się jeszcze do gospodarza domu. Był to człowiek prosty, uczciwy, nie zbyt łatwy do wzruszenia, ale dobrego serca. Pannę Helenę szczególnie jakoś szanował i kochał. Znalazła go prawie samego, bo z małym dzieckiem tylko.

— Przychodzę po pana — rzekła — jestem sierotą, biedną, o bardzo biedną... nie mam z rodziny nikogo oprócz opiekunki mojej... Wszakże mi nie odmówicie być świadkiem przy moim ślubie?

Paproński się porwał.

— Co? pani idzie za mąż?

— Tak jest.

— A ślub kiedy?

— Natychmiast.

— Jak to? tak? bez przygotowania się.

— Wesela nie będzie... Świadka tylko potrzebuję, pojedziesz pan jak jesteś. Paproński się przeląkł, wymawiał, ale musiał uleźć wręście.

Powóz przysłany przez jenerała stał w bramie.

Niedając się opamiętać pocziwemu Paprońskiemu, Helena schwyciła go i powiodła. Ksawerowa już na nich czekała na dole. Około powozu wysłany przez Puzonowa Sojko z drugim patryotą tegoż rodzaju zdala straż odbywali.

Kobięty jeszcze były nie wyszły, gdy jakiś niepoczesny dość jegomość zbliżył się do Sojki przybranego za kamerdynera.

— Dobry wieczór.

— Wieczór dobry.

— Czyj to powóz proszę pana?

— Mego pana — odparł Sojka.

— A? nie można spytać jak się zowie?

— Dziś się zowie tak samo jak wczoraj się nazywał — odpowiedział sługa.

— A! i po cóż czy po kogo tu panowie przybyliście?

— Za interesem.

Jegomość ciekawy dobył tabakierki.

— Nie zażywa pan tabaki?

— Nie...



— Szkoda, wyborna bernadynka. Ale któż to pojedzie?

— Ktoś albo nikt — rzekł Sojka.

Nie było sposobu z niego nic wyciągnąć. Ciekawy przechodzień odstąpił ale stanął tak, żeby mógł widzieć osoby wsiadające. Helena jednak przemknęła się żywo, tak iż trudno ją było poznać, a gospodarz i Ksawerowa pospieszyli za nią, zakryci przez Sojkę... Ciekawy jegomość widząc powóz odchodzący, pobiegł na drugi koniec ulicy do drugiego jakiegoś jegomości i zniknął.

Za węglem toczyła się rozmowa.

— Któż pojedzał?

— Dwie jakieś kobiety i mężczyzna.

— Młody, stary?

— Pękaty... ale nie widziałem...

— Czy i ta pojedzała?

— Otóż to, że dostrzedz nie było podobna.

— Dobry z was stróż!

A po chwili dodał drugi: — Stać i podpatrzeć, czy powróci...

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Książę skłonił głowę, stał i czekał. (str. 236).

## ODPOWIEDŹ

PANU ..... W ROSYI.

DNIA 29. LUTEGO 1868.

Pytasz się piewco: jakiego chleba

Dla duszy biednej dziś trzeba?

Jęków — czy modły o chwile lepsze...

W ufności — że niebo wesprze!

Chcesz po staremu piosenki nucić,

By z serca troskę wyrzucić!

W odpowiedź na to — przyjmij mój druchu —

Mysł w smutnym wyległą duchu.

Ci — co na ziemi w rajskim zachwycie

Wesoło spędzają życie,

Ci! — niechaj sobie jak ptacy leśni

Spiewają radośne pieśni.



Niechaj śpiewają!... ale gorące  
 Zanosząc modły — by słońce,  
 Co im świat piękniejszy — nie zaszło nigdy  
 Za chmurę krzywdy!

Bo w nienawykłe do bólu serca  
 Łza jako robak się wwierca  
 I straszniej gryząc — niż ciało zmija —  
 Często swym jadem zabija.

Niechżeż więc tacy nuć piosenki,  
 Co ducha nie znają męki!  
 Niech się radują... w świętoszków bawią...  
 I bajki o szczęściu prawią!

Wy zaś — o biedni! co matki łono  
 W jej ranach stopą skrwawioną —  
 Ledwo rzuciwszy pieluch powicie —  
 Do grobu deptać musicie!...

Wy! co cierpicie męki czyścowe  
 Za ojców mowę...

Wy!... co kącika w rodzinnej chacie  
 Niby zwierz dziki nie macie...

Wy! — co niezdolni wyrzec się wiary,  
 Dźwigacie krzyże bez miary!

Wy! co na pokarm w tym strasznym świecie  
 Własnego serca krew ssiecie!

Wy! których zbójcy pędzą ohydnie  
 Tam, kędy wszystko obrzydnie...

A jednak w życia ostatniej chwili  
 Jesteście tacy... jak byli!

Wy! — w każdym kącie ziemi — sieroty,  
 Schnące za matką z tęsknoty!

Wy! — którym stał się w dziejów skarbnicy  
 Świętością: słup szubienicy!

Wy! — z praw ludzkości — choć ludzkie syny,  
 Odarci bez żadnej winy!

Wy! — zapomniani!... Wy! — dziś wyklęci  
 Sobkostwem w bliźnich pamięci!

Wy... marzeń piosenki wydrzyjcie z duszy!  
 Łzy w sercu — niech rozum suszy...

Wypalcie w mózgu — zarem cierpienia  
 Wszelakie stare złudzenia...

I stańcie trzeźwi — choć bolem parci,  
 Topiąc źrenice w gmach czarci,  
 W którym bez przerwy lęgną się płodnie  
 Czyniące krzywdę wam — zbrodnie.

Zimni i cisi jak martwe głązy  
 Patrzcie spokojnie na płazy,  
 Co was kąsają... a łączcie dłonie,  
 By piekłu wyrwać — co tonie.

W takiej postawie... pracą wytrwałą  
 Dążcie! — by w jedno zrość ciało;  
 Dążcie! by spiący z snu się budzili  
 Zbawienia czekając chwili!

Czekajcie chwili — bo przyjdzie ona!  
 Nieśmiertna wasza nie skona!  
 Wiercie w jej żywot — ale nie myślcie,  
 By cudów nastąpiło przyjscie.

Bezczynnych modłów pora minęła;  
 Bóg nie słów pragnie — lecz dzieła.  
 Zamiast go męczyć — śląc łzy niewieście,  
 Do wspólnej pracy się weźcie!

Do wspólnej pracy połączcie ręce  
 Aby to — co jest bydlęce...  
 Stało się kiedyś — potężne duchem!  
 Fałsze — niszczącym obuchem.

Miłość braterska! to wasz jedyny  
 Zbawiciel, co zmaże winy;  
 Co z grobu matki kamień odwali,  
 Byście jej żywot witali.

A ten zbawiciel nie w krwi powodzi,  
 Nie w strugach płaczu się zrodzi;  
 Lecz w wspólnej — myśli czynami świętej,  
 Z Bogiem — jak Chrystus poczęty!

Miłość braterska! to grom wszechwładny,  
 Co zburzy kolos szkaradny!  
 To wódz potężny — co wściekłej hydrze  
 Stuletnią ofiarę wydrze.



Jednem wstrząśnieniem jak szałas lichy  
 Runie gmach zbrodni i pychy...  
 Runie z przekleństwem plugawej rzeszy,  
 Co się w nim roi i grzeszy.

A naród tchnący ową miłością  
 Stanie się ziemi: Świętością!  
 I Bóg mu rzeknie: „Wiekuj! tym czynem  
 Najmilszym jesteś mi synem.“

Pisano w Krakowie w ostatnim dniu Lutego 1868.

EMIL ....

## L I S.

### JEGO CHARAKTERYSTYKA I POLOWANIE NA LISY.

Podając czytelnikom *Strzechy* piękne ryciny nieodżałowanego naszego artysty A. Grottgera, przedstawiające polowanie na lisy w Polsce, zamierzeliśmy skreślić w krótkości szkic biograficzny przebiegłego tego szkoldnika. Znany on jest wszędzie, bo prawie cały świat, nie wyłączając Polski, jest jego ojczyzną; toż nie potrzebujemy wiele słów tracić dla wymienienia jego charakterystycznych znamion. Pysk mierny, bardzo zaostrzony, stojące uszy, ogon długi wiechowaty, pokryty bujnym gęstym włosem, oto cechy zewnętrzne, po których poznać można lisa na pierwszy rzut oka. Szerść na grzbiecie i po bokach mniej więcej ruda, pod gardzielią i brzuchem biaława; końce uszu u jednych białawe, u drugich czarne, i to stanowi odmianę dwóch gatunków bardzo mało różniących się od siebie. Koniec ogona jest biały i nazywa się kwiatkiem. Całe ciało lisa wydaje woń nader nieprzyjemną, lecz nad ogonem jest miejsce pachnące fiołkami, od znajdującego się tam gruczołu, pewną cieczą napelnionego. Głos wydaje podobny do szczekania psów, czasem jednak inny, przypominający przeraźliwy krzyk pawia. Futro jego jest w ogóle bardzo cenione jako lekkie i ciepłe, a rzeczywiście posiada ono i trzecią bardzo ważną zaletę, że jest trwałe, ale tylko ze zwierząt ubitych w późnej jesieni lub w zimie; przeciwnie zaś, lis ubity na wiosnę, gdy już żaby skosztuje, jak również ginący od trucizny, dostarcza futra prawie bez żadnej wartości, bo jak to wielokrotnie doświadczeniem stwierdzono, włos z niego obłazi. Lis syberyjski, cokolwiek większy od naszego, ma futro w zimie białe, lub błękitno-brunatne, które jest lepsze i piękniejsze, a więc też i droższe, niż ze zwykłego lisa.

Lis nie jest włóczęgą, jak inne należące i nienależące do tego samego co on rzędu, lecz stale trzyma się swego rodzinnego miejsca. Niedaleko pomieszkań ludzkich, na brzegu lasu zakłada sobie mieszkanie; jest to nora podziemna, którą albo sam własnymi wykopuje pazurami, lub też, co najczęściej, zdobywa na borsuku i stosownie do swoich potrzeb rozprzestrzenia i urządza. Warto zaprawdę przypatrzeć się jej wewnątrz. Ma zwykle trzy do sześciu stóp głębokości, a czterdzieści do pięćdziesięciu stóp obwodu,

i podzielona jest na kilka komórek, z których każda inne ma przeznaczenie; sypialnia oczywiście najwykwintniej jest urządzona. Tutaj to rodzi się młode pokolenie, zwykle czworo lub sześcioro od razu, i wychowuje się pod okiem czułych rodziców; mówimy czułych, bo wiadomo powszechnie, że tak lis jak i liszka troskliwie zajmują się losem swoich młodych, oboje z równym poświęceniem starają się o pożywienie dla nich, i igrając z nimi niezwykle okazują im przywiązanie. W czternastu miesiącach młody lis dorasta swoich rodziców i wtedy ich opuszcza, żyje zaś w ogólności około piętnastu lat.

Lis nie jest do tego stopnia zamilowany w cichem pożytku domowem, aby miał ciągle przesiadywać w swoim podziemnym zamku. Nie opuszcza go wprawdzie, dopóki dziatwa potrzebuje rodzicielskiej opieki, i wie, że w chwili grożącego niebezpieczeństwa tam najpewniejszą znajdzie ostoję, lecz lubiąc nade wszystko powietrze świeże i miłą woń lasu, najczęściej we dnie spoczywa w zacisznej gęstwinie, i przysłuchując się pianiu kogutów i geganiu gęsi w pobliskiej wiosce marzy słodko i układa plany nocnej wyprawy. To jego słaba strona, której w istocie uniewinnić nie podobna, ale można przebaczyć przez wzgląd na nadzwyczajny dowcip w obmyślaniu planu i wyborze czasu do jego wykonania, przez wzgląd na godną podziwu zręczność i przezorność, których bez przesady mogliby pozazdrościć lisowi nawet pewni wodzowie pewnych wielkich armii. Jest jednak cheiwy. Zakradłszy się do kurnika, nie poprzestaje na nasyceniu głodu, lecz dusi wszystko, co mu w szpony wpadnie, a potem wynosi po trochu, każdą sztukę osobno i nie pierwszej po nowy transport powraca, aż pierwszy należyć w gęstwinie ukryje. Podróż taka z kurnika i do kurnika często całą noc mu zajmuje, a nieraz się zdarza, że nawet przy największym pośpiechu nie zdoła przed wschodem słońca powynosić tego wszystkiego, co w kilku chwilach pomordował. Zjada on także małe dzikie czworonogi i ptactwo gnieźdzące się na ziemi, zwłaszcza kuropatwy i cietrzewie; także robaki, owady, jagody leśne, nawet miód, dla którego częstokroć wielkie zrządza spustoszenie w pasiekach. Z owoców lubi szczególnie wi-

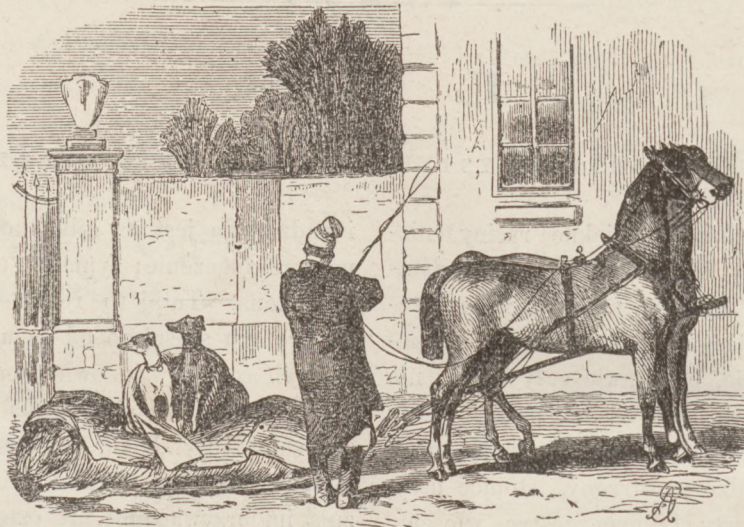


nogrona, lecz u nas trudno mu niestety o ten przysmak. Nad brzegami stawów zarosłych trzcina podchodzi w nocy i wyjada kurki wodne, kaczki i t. p., a gdy tych nie stanie, myszy i szczury, nawet żaby i jaszczurki. Przyciśnięty głodem, często przeciwko swemu zwyczajowi nie podstępem, nie z nienacka, ale wstępnym bojem uderza na zającą, ściga go jak pies z zadziwiającą wytrwałością i pokonawszy, pożera; na wielkim śniegu nawet starego zającą z łatwością chwyta i pokonywa.

Chytry, przebiegły, niezrównany jest w wynajdywaniu podstępów zawsze stosownych do okoliczności, zawsze wprost do celu prowadzących. Wsławił się on tą swoją przebiegłością, i przyznać trzeba, że umie być godnym tej sławy. Lekki i niezmordowany jak wilk, lecz zręczniejszy od niego, częściej podstępem swój cel osiąga, niż tamten siłą, która jest jego jedyną bronią, bo też w ogóle lis bardziej polega na swoim rozumie, niż na swojej sile lub szybkości nóg. Ma słuch bystry i wzrok bardzo dobry. Na ptaki zaczyna się jak kot, czołga się na brzuchu, a potem jednym susem chwyta swoją ofiarę; to też znają go ptaki i ujrawszy lisa uciekają w mgnieniu oka, ostrzegając donośnym krzykiem sąsiadów o grożącym niebezpieczeństwie. Gdy go pszczoły opadną, przewraca się po ziemi i bije nieustannie ogonem, póki wszystkich nie wymorduje. Godnym jest wzmianki środek, którego używa, aby się pozbyć pchli. Oto wchodzi w wodę i zanurza się bardzo powoli. W miarę tego pchły uciekają na sam wierzch grzbietu, który jeszcze jest suchy. Gdy poczuje, że już wszystkie tam się przeniosły, zanurza się szybko, i wówczas pchły spływają na wodę. Jako dowód nadzwyczajnej przebiegłości lisów przytoczymy tutaj kilka prawdziwych wypadków; nie będą to rzeczy nowe, bo wyjęte

z zapisków zoologów niemieckich, a prócz tego już w r. 1864 ogłoszone w jednym z tutejszych pism popularnych. Bądź co bądź, zda się nam, że przytoczenie ich tutaj nie będzie od rzeczy.

„Pewnego wieczora myśliwy znużony długim a bezskutecznym chodzeniem po kniei, usiadł na murawie oparłszy dubeltówkę o drze-



wo i przypatrywał się zachodzącemu słońcu. W tem w odległości kilkudziesięciu kroków ujrzał lisa powoli idącego. Zerwał się natychmiast, pochwycił strzelbę, zmierzył i już miał dać ognia, gdy oto szybszy od niego sokół, który zapewne przez czas dłuższy ze szczytu wysokiej jodły czatował na tego samego lisa, właśnie w tej chwili lotem strzały

rzucił się na swoją ofiarę. Strzelec wstrzymał się i ukryty za drzewem czekał końca walki. Lis napadnięty niespodziewanie przewrócił się na ziemię i zamknięwszy oczy udał nieżywego. Sokół jakby przestraszony tak nagłą śmiercią przeciwnika, odskoczył na kilka kroków i usiadłszy na pniu obok sterczącym, przypatrywał mu się z uwagą; widząc jednak, że lis nie daje najmniejszego znaku życia, zbliżył się do niego, usiadł przy jego głowie i zabierał się do wydziubania mu oczów; ale w tejże chwili lis zerwał się, schwycił go w mgnieniu oka za gardło i szybko poniosł w krzaki, gdzie zapewne byłby go zjadł na wieczernę, gdyby nie to, niebawem z za drzewa padł strzał, który go powalił na ziemię.“



„Pewna gospodyni, mająca pod swoim dozorem drób domowy, wchodzi do stajenki i o dziwo! zastaje wszystko poduszzone, a co szczególna ułożone w stos jedno na drugim pod ścianą, w której było okno. W pierwszej chwili uczuła tylko stratę, zwłaszcza że to były gęsi jej własnego chowu, ale ochłonawszy z przerażenia, zaczęła zastanawiać się, kto mógł być sprawcą tej straszliwej rzezi, i dla czego



nie zabrał z sobą pobitych gęsi, lecz poprzestał na ustawieniu ich w stos? Stroskaną i rozciekawioną gospodynię

Biały lis irlandzki ujrawszy z brzegu gęsi morskie pływające po wodzie, staje na tylnych łapach, wyciąga



objąsnił nareszcie doświadczony myśliwy, że sprawcą tego był niewątpliwie lis, który z powodu znacznej wysokości okna nie mogąc dostać się do niego, aby ze zdobyczą po-

szycę, i naśladuje chód gęsi tak doskonale, że te biorąc go za jedną ze swych towarzyszek, wychodzą z wody. Wówczas lis rzuca się obces i sprawia rzeź straszliwą.



wrócić do kniei, poprzestał na zrobieniu z poduszonych gęsi drabiny, która mu ułatwiła ucieczkę.“

Połowanie na lisy u nas należy do najprzyjemniejszych rozrywek, bo też aby lisa pokonać, potrzeba walczyć taką



samą bronią jakiej on używa, t. j. podstępem, dowcipem i wytrzymałością. Myśliwy musi znać doskonale miejscowość, wszystkie przesmyki i wąwozy, i dobrze się ukryć. Wyjeżdża się na lisy z psami, konno lub na saniach z zapasami żywności na cały dzień. Lis ostrożny za najbliższym odgłosem trąbki ucieka chyłkiem do innego lasu. Na widok psów gończych kryje się w norze. Szczwany chartami wywija na wszystkie strony ogonem, czasem broni się zacięciem i zwycięża, zwłaszcza taki, który się karmi żmijami. Gdy padnie postrzelony, ostrożnie brać go trzeba, bo kąsa; często też udaje nieżywego, lecz wówczas łatwo go zabić można uderzeniem w nos. Najciekawszą częścią po-

lowania jest wywabianie lisa z kryjówek. Aby to osiągnąć, podkurza się słomą wszystkie wyjścia z wyjątkiem jednego. Lecz często się zdarza, że lis pomimo tego nie wyjdzie z nory; bardziej go przestrasza wrzawa, szczekanie psów i trąbka nad jego mieszkaniem; wówczas wyrwa się, lecz ostrożnie i bardzo często uchodzi z pod najczujniejszego oka. Lubi on też czasami szydzić z myśliwych, i gdy wracają z polowania po całodziennym trudzie, pokazać się im jakby na drwiny, lecz zuchwalstwo takie zwykle śmiercią przepłaca.

W polach gdzie dużo myszy, lisa ochraniać należy, bo je wytepia.

St. NOWIŃSKI.

## NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

### III.

### WESELE BRESSAŃSKIE.

..... Wszystko się podworze  
Rozémieło, jako niebo od wesołej zorze.  
Witamy cię paniezu dawno pożądanym,  
Czeka cię upominek tobie obiecany,  
Obiecany od Boga...

Szymonowicz. Kołacz. Sielanka XII.

„Wesele niesłusznie nazywałoby się weselem, żeby przyjaciele nie mieli się spólnie ucieszyć.“  
Mądry Polak po szkodzie. Komedya. Akt III. Se. 12.

Nie znam nic więcej przesadzonego, nie bardziej mijającego się z prawdą, jak obyczaj, zwyczaj i mowa wieśniaka, wprowadzanego na tutejszą scenę. Wszystkie teatralne *Pierroty* i *Kassandry* narysowane są według jednego umówionego i z dawna przyjętego typu. Wieśniak dzisiejszy francuzki ma tylko jedną myśl, jedną żądzę, jeden cel, a tym jest interes. Cokolwiek leży za obrębem tego celu, nie zwraca jego uwagi; mów mu o czem innym, uda, że cię nie rozumie, i słuchać nie zechce. Jednym słowem, wieśniak francuzki, jakem to nieraz od samychże Francuzów słyszał, jest najprozaiczniejszą, najniedramatyczniejszą osobą.

Przypadek poddał mi pod oczy wesele *bressańskie*; postanowiłem je opisać: czytelnik nie znajdzie w mojej powieści ani akcji, ani intrygi, ale znajdzie prawdę, którejby próżno w scenicznych utworach szukać zamierzył.

Bawiłem już od kilku dni w małej wiosce *Arbigny*, oddalonej o jedną *lieue*<sup>1)</sup> od *Pont-de-Vaury*, małego obwodowego miasteczka w Bressyi (*Bresse*), należącej przez długi czas do Książąt sabaudzkich, a dziś stanowiącej departament *Ain*. Nie sprowadziła mnie tutaj z Lionu chęć

oglądania pomnika, który mieszkańcy *Pont de Vaury* rodakowi swemu generałowi *Joubert* postawili. Namówił mnie do tej wycieczki August de..., miły marzyciel, częsty i rozmowny towarzysz moich miejskich przechadzek. Mieśliśmy się zjechać w *Arbigny*, a ztąd udać się do poblizkiego zamku *Ponthé*, z właścicielami którego Gustaw w przyjaźnych zostawał stosunkach; corocznie ich też z archeologicznych, jak mówił, pobudek nawiedzał i mnie za sobą tym razem pociągnął. Przyjęci nader uprzejmie, rozgościliśmy się na piękne w zamku. Okolica była ponętna

„Miła oku, a licznym ożywiona płodem“

jak powiada Trembecki w swojej *Zofjówce*. Tu też mój młody marzyciel po całych rankach z zapalonem cygarem przesiadywał w oknie, podziwiając cichą piękność okolicy; podsłuchując spiewu ptasząt, gwarzących o swoich miłostkach na drzewach zamkowego ogrodu; oddechając pełną piersią powietrzem, ocieplonem łagodnemi promieniami jesiennego słońca. Myśli jego bujały swobodnie, i żadna troska przyjemnych nie truła mu marzeń; był pomiędzy swoimi i na swojej ziemi! Wyobraźnia jego kreśliła sobie obraz sielskiego szczęścia; obraz ten, snadno odgadnąć, byłby niezupełny, gdyby go nie ożywiała uroczą postacią młodej dziewczyny, pięknej jak *Noemi*, a słodkiej jak *Rachela*. Tym upatrzonym sielankowym ideałem była po pro-

<sup>1)</sup> Francuzkie jeograficzne *lieues* mają się do polskiej mili jak 5 do 3.



stu młoda i nieszpeta dziewczyna, przychodząca po wodę do studni zamkowej; pleć jej była ciemna ale pełna świeżości, oczy czarne i żywe. Ubiór malowniczy z granatowego sukna, z czerwonymi wstążkami i srebrnymi frendlami — nieskończenie mały kapelusik, pochylony na ucho i jakoby przypadkiem na głowę rzucony, podnosiły wdzięki wieśniaczki. Trudno mi było zaiste wymarzyć sobie w tym stroju jaką biblijną *Noemi*, albo *Rachele*; z tem wszystkiem młoda dziewczyna uchodzić mogła za niesłychanie piękną w krainie, gdzie kobiety podciągają spodnicę aż pod łopatki, z wielkim mozolem płaszczą okrągłość form swoich, i zarzucają małe kapelusiki na swoje szerokie twarze, zupełnie tak, jak gdybyś zdarty kapelusik z lalki chciał osadzić na dyni...

Pan Gustaw, acz z udaną obojętnością, dowiedział się niebawem, że ta piękna wieśniaczka, przychodząca co rano ciągnąć wodę ze studni, nazywała się Małgorzata *Grand*, że była córką jednego z *fermierów* <sup>2)</sup> zamkowych, zaręczoną Wilhelmu *Brulart*, i że wesele ma się odbyć nazajutrz. „Masz łatwą sposobność — rzekł po nabytych wiadomościach do mnie — poznać tutejsze zwyczaje, odnoszące się aż do średnich wieków. Umowa przedślubna i uroczyste oświadczenie odbędą się dla formy na dziedzińcu zamkowym. Niezaprzeczoną jest rzeczą, że wioska *Arbigny* pochodzi od osady Saracenów, którzy porażeni na płaszczynach *Tours*, przez Karola Martela, zamieszkali w tych stronach. Pochodzenie to wryte jest dotąd na czole i na licach mieszkańców; jestto niejako żyjący pomnik, zatwierdzający historyczne podanie. Obyczaj i charakter ludu znacznie się zmieniły w ciągłym starciu z mieszkańcami gmin sąsiednich, ale typ pierwiastkowy uchował się dotąd.“

Nazajutrz o dziesiątej z rana rozpoczął się obrzęd. Zajęliśmy miejsca w oknach zamkowych, podobnie jak w łóżach teatru. Wkrótce dał się słyszeć wielki hałas: były to głosy wieśniaków, domagających się, aby ich na dziedziniec wpuszczono. Otworzono bramę, i cały orszak weselny wszedł w porządku, wiedziony hałaśliwą i niestronną muzyką, składającą się z kobzy, liry i jednego klarneta.

A naprzód, ojciec Małgorzaty, w starym bressańskim stroju: kurta z białej dymy, kamizela czerwona z grubemi kościanymi guzami, obszerny kapelusik z wyłamanymi skrzydłami, wysłużony i spracowany jak jego właściciel; na piersiach bukiet z macierzanki, przewiązany czerwoną wstążką z długimi wiszącymi końcami. Córka jego Małgorzata szła obok niego, tuląc się do ojca, ze spuszczonego wzrokiem, z wyrazem pomięszania i wstydu. Suknia jej była nowa, wykrojona z granatowego sukna, fartuszek jedwabny, mieniący się barwy, kapelusik na ucho z długimi czarnymi koronkami, spadającymi na plecy, rękaw-

wiczki bawełniane białe, pończochy niebieskie z wielkimi czerwonymi klinami; trzewiki oblamowane czerwonym aksamitem. Za tą parą sunął się główny sztab blizkich krewnych, braci, stryjów, wujów, ciotek i kuzynek, w drugim i trzecim stopniu pokrewieństwa z oblubienicą.

Z drugiej strony o pietności kroków, ukazał się Jan *Brulart*, ojciec pana młodego, a przy nim syn jego Wilhelm. Młodzieniec był w nowożytnym stroju: szerokie spodnie z granatowego manszestru; mała kurtka myśliwska, z dwoma rzędami metalowych guzików i złotym na wszystkich szwach sznurkiem; szeroki pas czerwony z długim łańcuszkiem u srebrnego zegarka; a do tego malowniczego stroju biała bawełniana szlafmyca, w tył zwieszona i tak już dzisiaj w bressańskiej upowszechniona krainie, że nie ujrzyś jednego wieśniaka bez niej, wyjąwszy starców, co tem trudniej pojąć się daje w departamencie mglistym, niezdrowym i najwilgotniejszym we Francji.

Obie strony powitały się na sposób wiejski, rzucając nogą w tył i trzymając kapelusik w rękę.

*Ojciec panny młodej* (obracając mowę do ojca pana młodego)

Czego chcecie odemnie?

*Ojciec Brulart* (kręcąc kapelusik w rękę).

Chciałbym, żebyście dali córkę waszą Małgorzatę *Grand* synowi memu Wilhelmu *Brulart*.

*Ojciec Grand*

Przystąpcie bliżej!

(Następuje wahanie się. Nikt nie chce zrobić pierwszego kroku. Obie strony zbliżają się jednocześnie do siebie.)

*Ojciec Grand* (znowu)

A macieź dużo talarów?

*Ojciec Brulart*.

Mamy tyle co i wy. (To mówiąc, uderza ręką po kieszeniach od kamizelki tak, aby pieniądze brzęknęły.)

*Ojciec Grand*.

To dobrze; — a ileż w dzień umowy ślubnej wyliczyć myślicie?

*Ojciec Brulart*.

Ile wy dacie córce waszej Małgorzacie, tyle ja dam synowi memu Wilhelmu.

*Ojciec Grand*.

Ja dam Małgorzacie pięćset talarów; położę je na stole u notaryusza; kontrakt mnie z nich zakwituje; a z tym posagiem będzie i piękna wyprawa, którą matka z umysłu dla niej uszyła.

*Ojciec Brulart*.

Ja dam Wilhelmu *Brulart*, synowi mojemu, tutaj obecnemu i przyjmującemu, grunt mój konopny, sześciu miar wysiewu, i oszacowany przez biegłych na 2.000 franków. Przeniosę prawo moje na jego osobę, bez żadnego zastrzeżenia, notaryalnym aktem, i bez nadwężenia praw spadkowych, objawionych w kontrakcie.

<sup>2)</sup> Dzierzawców.



*Ojciec Grand.*

A będziecież mieli staranie o mojej biednej Małgorzacie? Będziecież ją kochać? Zrobicież ją szczęśliwą? — Odpowiadajcie — przyrzeczcie to Bogu, który nas widzi i słyszy, i całej rodzinie.

*Ojciec Brulart.*

Czy ja o niej będę miał staranie? — Lepsze, jak gdyby była mojem własnem dzieckiem. — Czy ją kochać będziemy? — Tak jak własną córkę. A Wilhelm jakże ją kochać będzie! Jak ją zrobi szczęśliwą! Przyrzeka to Bogu — wam, których ona córką — mnie, który Ojcem jego jestem — przyrzeka to wobec naszych połączonych rodzin.

*Ojciec Grand* (trzymając Małgorzatę za rękę, obraca ją z wolna.)

Patrzcież sami, jaka ładna, jaka hoża, jaka miniasta i skromna! Uczciwszy uszy kompanii, jest przy tem jak owieczka ukochana w trzodzie, którą wiedzie na paszę; a z tem wszystkim nie trzeba z nią bardzo igrzać.

W ciągu tego dyalogu, którego prostoty nikt oddać nie zdoła, Małgorzata cała zaczerwieniona, ręce trzymając pod fartuszkami, tuliła się do ojca i nie śmiała spojrzeć na Wilhelma. Ten wystąpił z grona, wziął ją za rękę, stanął na czele orszaku i szedł do kościoła po błogosławieństwo kapłana. Po obrzędzie kościelnym, dwunastu młodzieńców, krewnych i przyjaciół nowożeńca, wbiegło na dziedziniec zamkowy, żądając mówić z Małgorzatą. Przynieśli dla niej przepyszną suknię z karmazynowego sukna, ale zwyczaj nie pozwala, aby się ta suknia dostała oblubienicy. Odpowiednia liczba młodzieńców, krewnych i przyjaciół oblubienicy, czatowała na chwilę oddania sukni; rzuciła się na oddających — nastąpiła zacięta walka — zwycięstwo ważyło się długo — nakoniec suknia zerwana, podarta w szmaty, zawieszoną została na kiju i obnoszona ją w tryumfie po całej wiosce.

Wieczorem wszyscy zasiedli do stołu, byłato uczta weselna. Obejście folwarku napełniło się gwarem i życiem. Wydniono beczki i szklankami czerpano z nich wino — wsadzono na różny cały udziec wołowy, całe ciele, dwa barany, kilkanaście gęsi i kaczek, i wielki mur pieczywa wznosił się z obu stron potężnego ogniska. Ale niecierpliwi goście nie chcieli czekać, aż się mięsiwa dopieką; wyrwali z różna krwiste jeszcze pieczenie, tak im było spieszo dorwać się do hucznej biesiady.

Przy końcu uczty, ojciec Małgorzaty powstaje i nakazuje milczenie. Oświadcza kompanii, że stosując się do dawnego zwyczaju, oblubienica w towarzystwie weselnego drużby<sup>3)</sup> rozpocznie kwestę w około stołu, ażeby tym sposobem ściągnąć od biesiadników część kosztów uczty weselnej. Małgorzata, prowadzona przez drużbę, okrążyła

stół, podając każdemu kawał ciasta<sup>4)</sup> i nalewając mu szklankę wina; a każdy ochotnie składał w jej woreczek skromną swoją daninę. Skończyła się kwesta i orkiestra słyszeć znowu dała okropne swoje *akkorda*; młodzież rzuciła się do tańca z zapalem. W tejsze chwili porwano oblubienicę, zaniesiono ją na strych i ukryto za kominem, wraz z druchną<sup>5)</sup>, narażając tym sposobem obie na całą ostrość nocnego chłodu; ale zwyczaj tak każe; a im większa wyniknie ztąd trudność wynalezienia ukrytej oblubienicy, tem większy ztąd zaszczyt na całą wieś spłynie.

Młodzież tańcowała wesoło; a tymczasem nowożeniec krążył po całym domu, szukając oblubienicy. Po dwóch długich godzinach daremnego poszukiwania, znalazł nakoniec przeziębłą, drzącą, biedną Małgorzatę, niecierpliwie wyglądającą młodego swego oblubienca, żeby się w objęciach jego ogrzała. Starodawny to zwyczaj w krainie *Bresan*; ukrywają oblubienicę w wydnionej beczce, w kadzi, w piwnicy, pod stogiem siana, pod ławą muzykantów, w najnieodostępniejszych zakątach domu. Zdarzyło się pewnego razu, że zamknięto oblubienicę w starej skrzyni na strychu; skrzynia była długa, szeroka, przypadająca do miary jak trumna i szczelnie zamknięta. Po długich poszukiwaniach znalazł nakoniec oblubieniec swoją małżonkę, ale zaduszoną, umarłą — Nieboga!

Innego razu młody chłopak wiejski zaślubił dziewczkę nieco już podstarzałą; on wybrał starą dziewczynę, bo miała talary; dziewczyna oddała mu swoją rękę, bo chłopak był urodziwy. Wieczorem ukryto oblubienicę, oblubieniec położył się spać. Oblubienica oczekiwała z utęsknieniem w głębi ściennej szafy<sup>6)</sup> i spać nie miała wcale ochoty. Zniecierpliwiona utrudzającym położeniem i długiem oczekiwaniem ośmieliła się uchylić drzwi i wysadzić głowę. Nakoniec zawołała głośno: „Panie *Jacquier!* Założę się, że mnie nie znajdziesz!“ A pan *Jacquier* odpowiedział na to: „Wszystko to być może, pani *Jacquier.*“ Czuła małżonka zrozumiała, że pan mąż bynajmniej szukać jej nie myśli. Niech się dzieje wola boża! pomyślała sobie, wyszła z ukrycia i wróciła do męża.

Wilhelm odzyskawszy Małgorzatę, odprowadził ją do ojczystego domu, ale nim to nastąpiło, dziwna jeszcze odbyła się scena. Małgorzata weszła do izby, wzięła fartuch w obie ręce i mocno płakać zaczęła. Tym sposobem obezła dom cały, żegnając wszystkie sprzęty *fermy*<sup>7)</sup>.

„Żegnam cię — zawodziła — mój kominkowy zakącie, gdzie tak szczęśliwe dla mnie upływały chwile, kiedy w czasie burzy tuliła do ciebie! Żegnam was

<sup>4)</sup> Zrobionego i pieczonego na sposób naszych androtów — Waffelkuchen — Gauffre.

<sup>5)</sup> Fille d'honneur.

<sup>6)</sup> Placard.

<sup>7)</sup> Folwarku.

<sup>3)</sup> Garçon d'honneur.





RZNIĘTO W ZAKŁADZIE DRZEWORYTNICZYM P. J. WEBERA W LIPSKU.

RYSOWAŁ PORUCZNIK MAŁANKIEWICZ.

## PRZEJŚCIE POLAKÓW przez LIPSK W ROKU 1831.

(DRZEWORYT DO PAMIĘTNIKÓW W. POLA. str. 187.)



moje wieczornice<sup>8)</sup>). Żegnam cię, moje wyplatane słomą krzeselko, mój kołowrotku, moje obcząki, moja łopatkę, moja patelnio! Trzebaż was tedy porzucić? Mój Boże! Czy podobna? Żegnam cię, moja komodo, moje lusterko, moje łóżko, na którym tak lubo marzyłam o moich krokach, o moich owieczkach! Żegnam cię, mój wierny psie! Żegnam was, mój ojczu, moja biedna babuniu i was wszystkich, którzyście mnie kochali tak bardzo!“

Ledwie tych słów domówiła, już ją Wilhelm z domu wyciągnął. Wróciliśmy do izby, młodzież tańcowała jeszcze, a taniec jej nie był bez powabu. Dziewczęta w różnobarwnych strojach, z ognistym wzrokiem, płonącym licem; chłopcy urodziwi, dziarscy, pełni życia; taniec ich ruchem i zwrotem do *galopady* podobny<sup>9)</sup>; wesołość na wszystkich twarzach. Wszystko to razem składało dla mnie nowy, malowniczy widok. Dziwne zwyczaje! Dziwna kraina! Nie przesadzę, kiedy powiem, że w tej części Bressyi piętnastoletnie dziewczęta chodzą już do *kabaretu*<sup>10)</sup>. Każdej niedzieli znajdziesz natłoczone *kabarety*, dziewczęta i chł-

paki zasiadają razem, śpiewają miłośne piosneczki i wyróżniają butelki. Co sądzić o niewinności dziewczyny, przesiadującej na szynkowej ławie i wracającej do domu sam na sam z zalotnikiem swoim! W Bressyi kobiety podziwiają wszystkie rolnicze prace; dlatego też zaledwie dosięgną dwudziestego piątego roku życia, gdyby nie spodnica i czepiec, niktby ich nie rozpoznał od mężczyzn, tak dalece rysy ich męźnieją i grubieją.

Nazajutrz po weselu, jeżeli która z zaproszonych na nie kobiet da się podejść w łóżku, kiedy oblubienica już wstała, porywają bez litości niebogę, kładą ją na koldrę, trzymaną przez czterech parobków, i obchodzą wszystkie domy, od drzwi do drzwi, domagając się masła, mleka, jaj i innych wiktuałów; a przed każdym domem podrzucają kilkakrotnie w górę leżącą kobietę.

Szczegóły te może przesadzonemi się wydają; z tem wszystkim są prawdziwe, a nawet nie mają innej zalety prócz tej, że się w nich ściśle prawdy trzymano.

KSAWERY GODEBSKI.

## F R A S Z K A.

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

The actors are at hand, and by their show,  
You shall know all that you are like to know.

Midsummer-nights dream.

W. Shakespeare.

Dym cygarowy przeciągał smugami cienkimi po kawalerskim salonie pana Karola Giżyńskiego, dziedzica Łuczyny. Gospodarz dwóch młodych miał gości, i gawędka toczyła się ożywiona. Na stoliku leżały nowe karty i stały pudełka z markami do preferansa — nie brakowało nawet miseczek i nagromadzonych liczbaków. Znać tylko jeszcze na czwartego partnera czekano.

Pan Karol był młody i przystojny blondyn, z wąsikami miękkimi i bródką. — Łuczyna została otaksowana na 60.000 talarów. Miał na niej tylko *Landszaftę* (Towarzystwo kredytowe), jakiś szkolny fundusz — a resztę, 40.000 talarów czystego majątku, pięknego, nielicząc inwentarza i nieruchomości. Przytem był rządny i oszczędny. Chciał ożenić się właśnie — dobrej szukał partyi.

Pierwszym jego gościem był pan Alfons Kierniewski, dziedzic majątności Dębownica, którą wszelako czasowo

tylko cieszył się jeszcze, zmarnowawszy w przeciągu lat niewielu ojcowiznę całą. A jak? O tem szeroko pisać było!... I on także chciałby ożenić się bogato: od lat czterech przemyślał to o jednej to o drugiej *heritiere'ce*, ale zawsze różne nastęrczały się przeszkody. Obecnie zapewne zrezygnowałby się łacniej, lękał się wszelako harbuzów (jak mówią na Wołyniu), a był dumnym i zarozumiałym. Pan Alfons przedstawiał zużytą młodość, lubo, że pod względem urody natura dlań macochą nie była. Dziś wszelako zakłęsłe policzki nadstawiał sutemi, angielskimi, rudawemi bokobrodami. Oczy mdławo spoglądały i szafirowe nosił konserwy. Ubranie na nim było wykwinne i kosztowne. Ekwipaż miał elegancki i przed trzema dopiero dniami kupił parę pięknych koni za tysiąc talarów... na weksel.

Gość drugi, pan Władysław Horyński, zostawszy od św. Jana dzierzawcą Lesina, był dość bliskim sąsiadem Karola Giżyńskiego, który dziś, przy niedzieli, na obiad go zaprosił. Nazywano go sędziulkiem, a niekiedy pieszczotliwie niby i dziuniem. Syn niezamożnych rodziców,

<sup>8)</sup> Veilleés du soir.

<sup>9)</sup> Zowią go: la bourée.

<sup>10)</sup> Szynk.



dzierzawców, mających dzieci kilkoro, z pracą i trudem skończył zawód prawnika na uniwersytecie berlińskim. Pracował jako referendarz przy sądzie poznańskim i złożył właśnie egzamen trzeci, tak zwany asesorski, gdy powstanie roku 1863, po gwałtach bez granic, w nieszczęśliwym Królestwie Polskiem wybuchło. Podejrzany o udział pewien — jako i inni koledzy jego Polacy, został rozporządzeniem ministra na posadę do dalekiej, westfalskiej przeznaczony prowincyi. Los ten gorzki spotkał i drugich podobnie; i jedni, koniecznością zmuszeni, poddali się z żalem temu wyrokowi, zamożniejsi wystąpili z urzędowania, nie chcąc kraju i rodziny opuszczać. Władysław srogą z sobą stoczył walkę: z zamiłowaniem oddał się zawodowi swojemu — i pracy własnej, pilnej a wytrwałej, jakoteż i rodzicielskiej ofierze, zawdzięczał chlubnie złożone egzamina i nadzieję stanowiska przyszłego. Już dążył napewno do mety, gdy klęska narodowa ogólna i jego osobiście dotknęła. Miałżeż się wyoczyźnić? Może na zawsze!... Wyrzec się tego jedyne go jeszcze szczęścia: oddechania powietrzem polskiem i pozostania bliżej rodziny, bliżej swoich?! Długo walczył i postanowił wreszcie raczej wyrzec się posady i kariery, a na ziemi ojczystej pozostać. Przedsięwziął poszukać u którego z możliwych obywateli posady prywatnej, pełnomocnika lub t. p., i stósowne ku temu poczynił kroki; szukał pracy i chleba — choćby tylko utrzymania miernego; gdy w tem zabłysła mu pomyślność, o której ani zamarzył: cioteczny brat matki, pan Wincenty Dębogórski, dziedzic Radlicy, bezżeniec majątny, wezwał go do siebie, a list jego taki zawierał ustęp:

„Żądam pracy od każdego i ścisłego zachodu o własny kawałek chleba. Cieszyłem się pracą Twoją i uznałem ją. A zmartwiło mnie szczerze to, co nastąpiło potem. Nie przyganiam wszelako tobie; bo trudno wykorzenić zasadę i uczucie z mlekiem matki wysrane, które nakazuje własną po nad wszystko miłować ziemię. A więc i basta o tem. Teraz wszelako radzić potrzeba, co ma być nadal. Przyjedź do mnie i bądź przez dwa lata na praktyce gospodarczej. Rolnictwo nie jest ci obcem, boś rodził się przy niem, — a zatem na tej popracuj niwie. Za chodzenie około innych interesów moich, jako znający prawo, wyznaczę pewne *quantum*, które ci wystarczy. A po dwóch latach zobaczymy, co dalej uczynić wypadnie.“

Władysław przyjął to wezwanie z radością, i tem wyżej je cenił, że pan Dębogórski nie był przystępnym wcale, surowym i dość nielubionym nawet, bo do tak zwanych bocianów należał: gromił wszystko i jawnie sąd swój i naganę wygłaszał.

Po dwóch latach nauki i praktyki, w których Władysław dobrze zasłużył się wujowi, ten ostatni mu oświadczył, że weźmie dla niego dzierzawę, to jest, że mu potrzebnych kilka tysięcy pożyczczy. Młody na to ze lżą wdzięczności objął kolana jego. — Lesin należał do rozległej ma-

jętności hrabiny X., wdowy w podeszłym wieku, dziedziczki Złotych-Górek, i pan Dębogórski wziął go dla Władysława w dzierzawę. A nadto poruczyła dziedziczka młodemu prawnikowi i różne interesa swoje, oddawszy mu plenipotencję zaszczytną. Rzucił się zatem skrętnie do pracy, a zarazem przestrzegał praw sędziwej dziedziczki, która zwykle część lata u wód, a zimę najczęściej przebywała w mieście. Dwóch jej synów oddawna swoje dzierzyli majątki, a córka od lat kilkunastu zamężną była.

Powierzchność Władysława była zajmująca: wzrost miał wysoki i kształtny; rysy twarzy dość regularne; cerę śniadawo-bładawą; oczy, włosy i wąs ciemne. Bokobrodów nie nosił żadnych. Ubiór jego skromna elegancya znaaczyła.

— Cóż u licha, że tak długo nie widać Feliksa! — zawołał wśród gawędki na raz jeden gospodarz, i spojrzął na zegarek. — Godzina druga dochodzi. Mój pan kucharz wysuszy i poswędzi nam wszystko.

— Może zapomniał o zaproszeniu twojem — uśmiechnął się Alfons niby szyderczo trochę, — i pogonił do swojej belli.

— Wczoraj ztamtąd powrócił dopiero. Spotkałem go w miasteczku.

— Kiedyż ślub?

— Nie pytałem.

— Żadna panna i miła bardzo — ozwał się Władysław — wykształcona, a przedewszystkiem dobra Polka.

— Ma *chique*, ani słowa — dodał Alfons.

— To też rozgalopowało się serce Felunia z gustem, i zakochał się na umor od razu. Było to na balu składkowym w Poznaniu, i myślałem, że umrę ze śmiechu.

— To i dlaczego? — zapytał Władysław.

— Płatał głupstwa bez liku. Bo też wszystkie te romanse są istną niedorzecznością w dzisiejszych potrzebach praktycznego życia.

— Weźmie z nią jakie dwadzieścia tysięcy — wtrącił Alfons i przeciagnął się na kanapie.

— Podobno piętnaście tylko! I zginać przy tem może. Wioskę ma ładną, nieodłużoną. Chłopiec niczego, ma pewien *chique* — i piętnaście tysięcy! — wzdrygnął Karol ramionami — powinien był sprzedać się drożej.

— Poznałem pannę Teresę w chwili dość ważnej — wtrącił znowu Władysław — i dała mi nader piękny poznać charakter.

— Sędziulko znowu idealizuje, wedle zwyczaju, z gustem.

— Mówię prawdę — odparł tamten z przyciskiem, podniósł czoło, a na jego lieu płomień powstał lekki.

— Dziwnio lubi piękną chwytać stronę — wtrącił Alfons z pewnym odcieniem sarkazmu.

— Już was tyle razy prosiłem, dajcież pokój temu tytułowi nieszczęsnemu — zawołał Władysław nie bez goryczy — niechaj raz przebrzmi, co nie miłem jest wspomnieniem.



— Sąd twój uznajem rzeczywiście, a ztąd i tytuł— wtrącił Alfons grzecznie, skubiąc bokobrody swoje.

Chwilowe nastąpiło milczenie. Karol począł mieszać karty. Alfons świeże zapalił cygaro, gdy nagle na dziedzińcu zatętniało.

— Przecież! — zawołał gospodarz.

Ładna czwórka gniada okrążyła zajazd. Lekki kabriolet przystanął — i wyskoczył z niego młody, przystojny mężczyzna: zręczny, świeżego lica, z mocnym, ciemno-płowym zarostem. Trzej bawiący w salonie wybiegli, by go powitać.

— Spóźniłeś się — wymówił pan domu, wprowadzając go do pokoju.

— Wybacz! Wybaczcie, jeżeliście czekali! Byłem na nabożeństwie w Złoty-Górkach. Zatrzymał mię proboszcz... A pożałuj, Karolu! — zwrócił się do niego — bo tam była i pani Górnicka z panną Heleną.

— To i co? — wyrzucił tamten głową.

— Nie wypieraj się, że ci zadzierzgnęła serduszko!

— Och, och! Daleko ztąd do onąd!

— Karol nie ma serduszka do zadzierzgnięcia — uśmiechnął się Alfons — jesteśmy obadwaj *stricte* zabezpieczeni na podobne ewentualności.

— Był czas, gdzie panienka tobie podobała się bardzo! — ciągnął Feliks dalej.

— Podobać się może. Ma *chique*, przyjemna, ładna nawet.

— I bardzo! Kręciłeś się przy niej i często w Wierzewie bywałeś!

— Bywałem, byłem nawet jeszcze przed dwoma tygodniami, czyli trzema, nie pamiętam, ale zawsze jako sąsiad tylko. Boć to i najbliższe jest sąsiedztwo! A do kogoż pojedę? W Żarcynie Niemiec, w Tłoczewie Niemiec.

— Więc rzeczywiście nie jesteś konkurentem do panny Heleny?

— Anim kiedy śnił o tem!

— Śliczne dziewczę! I zdawało mi się, że gdy o tobie wspomniano, panna zarumieniała się nagle.

Karol się rozśmiał.

— Być może, panna sobie główkę nabiła, alem ja temu nie winien. Żałuję tego mocno. Mam sympatyę dla niej i życzę jej dobrze.

— A wiesz Karolu, że byłbyś z nią szczęśliwy, wszystko za nią przemawia. Jakż jest sąd dziunia o pani Górnickiej.

— Nasamprzód, proszę cię Felciu, puść ten tytułik w niepamięć! — Władysław podał mu rękę — a odpowiem ci, żem dotąd jeszcze panny Heleny nie poznał.

— Jakżeż to być może? Pan Górnicki dzierzawi Złotogórką majątność, a ty Lesin?

— Byłem z wizytą zaraz, alem pań w domu nie zastał. Byłem raz drugi, sama pani była chora, więc znowu tylko

przyjął mnie pan Górnicki jedynie. Rewizytował... i wybieram się właśnie znowu. Przeszkodziły i żniwa trochę.

— Zacny to dom i przyjemny bardzo. Moja pani i panna Helena były razem na pensyi, i przyjaźnią się bardzo. Karolu, byłbyś bardzo szczęśliwy z panną Heleną! — Feliks nie mógł pozbyć się tej myśli.

— Być może! Ale proszę was, dziś z tej potrzeba wychodzić zasady, że jeżeli kawaler ma 40.000 majątku, winien ożenić się z panną, która ma dwa razy tyle przynajmniej. I ja też nie odstąpię od tego *principium*. Czyniąc inaczej, rujnują się tylko majątki. Panna Górnicka może będzie miała najwięcej, najwyżej, ośm tysięcy posagu. Bo więcej *le chér papa* dać nie może, choćby się i żydom zaprzedał. Jest dzieci czworo. A zatem kto wie, czyli nie da sześć tysięcy tylko, a jeszcze będzie i pewności żądał i każe za hipotekować.

— I to słusznie i sprawiedliwie — wtrącił Władysław.

— Ośm tysięcy! — zaśmiał się Karol — bo przypuścimy, że ośm. Bagatela! Nie głupim, z przeproszeniem, rozamowować się, a potem łątać biedę, z gustem.

— Biedę? Przy czterdziestu-kilku tysiącach! — zawołał Władysław.

— Cóż to jest na dzisiejsze czasy! Dla mnie jednego wystarczy, ale nie z żoną i familią. Muszę najmniej wzięść sto-tysięcy. I też powiem wam *sub secreto*, mam taką partyę napiętą.

— Gdzie? — zainteresował się Alfons.

— Het, het! Na Kaszubach, na Żóławach, pod Gdańskiem, pod Królewcem, a może pod Memlem czyli Kleipedą, sam nie wiem — zaśmiał się wesoło.

— Czy to Niemka?

— Gdzież tam! Polka. A przecież i nie Kaszubka także.

— Byłem na Kaszubach w r. 1863, i poznałem tam bardzo zacne rodziny — Władysław ozwał się znowu.

— Nie przeczymy — skrzywił się Alfons.

— Mogę was nadto zapewnić, że panna jest szlachcianką, familli dobrej, chociaż o to nie stoję, bo wiecie, żem demokratą. I była w Dreźnie na pensyi.

— Któż ci ten klejnocik odszukał? — podniósł się Alfons.

— O tem potem. A teraz tajemnica.

— Winszuję ci! — nie bez zazdrości Alfons wymówił znowu.

— Kiedyż ślub twój? — zapytał w tym czasie Władysław Feliksa, chodząc z nim po salonie.

— W sam dzień św. Michała.

— Winszuję ci! — Władysław ten wyraz innym wymówił tonem, aniżeli Alfons powyżej.

— Dziękuję! — uściskał mu Feliks rękę — jestem bardzo szczęśliwy! I wierzaj, że o posag nie pytam — dodał ciszej jak gdyby chciał uniknąć uwag dwóch drugich towarzyszków. — Będę pracował, ażeby puścićnę po ojcu utrzymać.



A Tereńcia moja nie nawykła do zbytków, nie ma wymagań żadnych.

— Proszę jaśnie panów do stołu — ukazał się lokaj z serwetą w ręku; i dalsza rozmowa na tem polu przebraną została.

Przy stole mówiono o nowinach politycznych. O wojnie i jej wypadkach. Władysław i Feliks z bolem mówili o strasznych bezprawiaach w zaborze rosyjskim. Gadano

o przyszłej wystawie paryzkiej, o teatrze polskim w Poznaniu, i grze znamienitej niektórych artystów i artystek. O maszynach pana Cegielskiego, o nowej księgarni pana Leitgebera, i o gastronomicznym zakładzie przy placu Wilhelma.

Po obiedzie wszyscy czterej do preferansa zasiedli.

Dalszy ciąg nastąpi.

## WŁADYSŁAW EMINOWICZ.

### RYS BIOGRAFICZNY.

Łzawi się oko, ile razy przychodzi nam poruszać wypadki ostatniego powstania—dotykać niezagojonej jeszcze rany w piersiach własnej matki. Ale tyle zacnych imion kołata jeszcze do pamięci narodu, tyle poświęceń i zasług domaga się uznania, że potrzeba choćby piórem maczanem we łzach i żalu serdecznym spełniać obowiązek pisarza, ażeby przekazać potomności to, co kochać i szanować powinna.

Cały świat przyznać to musi, że ostatnie powstanie polskie, aczkolwiek nieszcześnie i fatalne w skutkach swoich, nie było bez chluby dla narodu. Dało ono Polsce niemały poczet imion świetnych, wydobywając je na jaw jak burza konchy perłowe z głębi morza; i widzieliśmy przykłady takiego heroizmu i poświęcenia, jakimi poszczycić się może zaledwie klasyczny świat Homera. Wiemy też wszyscy, że nie dla braku ludzi upadło to powstanie; mieliśmy bowiem wodzów, którzy przy pomyślniejszych warunkach materyalnych byliby niewątpliwie nadali zwyciężki obrót sprawie. Ale inaczej chciała Opatrzność — a takiej woli niezmocze żadna siła ludzka!

Do rzędu takich imion należy bez zaprzeczenia i to, które położyliśmy na czele tej karty; a jest ono tem miłszem dla nas, iż nosiło je dziecię naszego grodu, zrodzony i wychowany pośród nas prawy syn tej ziemi, której przyniósł zaszczyt najchlubniejszym świadectwem polskości jej ducha! Raporta wojenne z teatru powstania, opisy wypraw ochotniczych i korespondencye dziennikarskie wspominały w swoim czasie bardzo często to imię z wielkiem odszczególnieniem, a i w ogłaszanych później pamiętnikach tej świeżej martyrologii przyznawano jedno z pierwszych miejsc s. p. podpułkownikowi Eminowiczowi. I uznanie to zaprawdę słusznie mu się należy; bo chociaż przyznamy nawet, że pomiędzy ówczesnymi naczelnikami oddziałów powstańczych mógł niejeden przewyższać go wykształceniem w zawodzie wojskowym, to przecież co do zapału dla sprawy narodowej, męstwa i poświęcenia bez wszelkiej próżności osobistej, jak również co do wrodzonego taktu, rzutkości ducha i bystrości umysłu w najkrytyczniejszym

nawet położeniu, z pewnością nie każdy mógłby wytrzymać z nim porównanie. Ztąd też godzi się i w naszym piśmie poświęcić choć kilka słów jego pamięci i opowiedzieć pokrótce żywot, który nie był bezowocnym dla ojczyzny.

Władysław Eminowicz urodził się we Lwowie w r. 1838 z rodziców Michała i Julii (z Sobolewskich) Eminowiczów. Wzrastając od dzieciństwa w uczuciu patriotycznym, już w r. 1848 objawił nadzwyczajny zapał i chęć służenia ojczyźnie, gdy podczas bombardowania Lwowa mając zaledwie lat 11 całą noc pomagał przy stawianiu barykad. W r. 1854, gdy się zanosilo na wojnę krymską i Polakom zabłysnęła nadzieja możliwej walki z Moskwą, wstąpił 16letni Władysław do wojska austriackiego z gorącym pragnieniem wyuczenia się sztuki wojennej, ażeby później w danej chwili być gotowym i zdolnym do ofiarowania usług swoich ojczyźnie. W r. 1858 otrzymał stopień oficera, na którym też zastało go wybuchnięcie powstania polskiego z początkiem r. 1863.

Jak tylko rozeszła się pierwsza wieść o powstaniu, nie dozwolił mu patriotyzm jego pozostać dłużej na tem stanowisku; kwitował więc natychmiast ze służby austriackiej i pospieszył do obozu Langiewicza pod „Goszczą”. Zapytany po okazaniu kwitacyi, jakiej żąda rangi, odpowiedział z wrodzoną sobie skromnością, że pragnie tylko zaszczytu walczenia za ojczyznę; prosił więc tylko o miejsce szeregowca, i został przydzielony do batalionu majora Niewiadomskiego. Odtąd podzielał też wiernie wszystkie trudy i walki tego oddziału; a gdy wreszcie Langiewicz bitwą pod Grochowiskami zakończył niepoczesną dyktaturę swoją i wyniósł się do Galicyi — Eminowicz uważając za hańbę samowolne ustąpienie z widowni walki, przyłączył się do oddziału Czachowskiego, i już w pochodzie w Sandomierskie mianowany został przez tegoż najprzód kapitanem, a później zastępcą szefa sztabu. W tym charakterze odbył zaszczytnie kilkumiesięczną kampanię z Czachowskim, walcząc mężnie i wytrwale, a głównie organizując umiejętnie od-



działy ochotników, pokładających w nim całe zaufanie i kochających go serdecznie. W tej pracy wielką była zasługa Eminowicza, i w tem niewiele mu dorównało. Jego też znajomości sztuki wojennej, obrotności i energii zawdzięczał oddział Czachowskiego długie powodzenie swoje, co i sam dowódzca uznawał, nazywając Eminowicza „prawą ręką swoją.“

O tym peryodzie działalności Eminowicza pisze jeden z jego towarzyszków broni\*): „Gdy Czachowski po rozbiciu oddziału Langiewicza zebrał resztki i ruszył w lasy Śto-Krzyskie, przybył tamże wraz z nim Władysław Eminowicz, były oficer wojsk austriackich. Czachowski instynktowo potrafił wybierać sobie pomocników; sam nie tęgi strategik, nie obeznany z dzisiejszą umiejętnością sztuki wojennej, ale osobiście bajecznie wytrwały, odważny i znający stosunki miejscowe, wybrał sobie Eminowicza jako głowę oddziału i dał mu tytuł szefa. Pierwszą obmyślaną przez Eminowicza i nadzwyczajnie pomyslną wyprawą była potyczka pod Piekłem, gdzie dwie rotę Moskali zostały prawie całkiem zniesione, a ich kapitan Nikoforow wzięty został w niewolę i obwieszony pomimo usilnych prośb Eminowicza\*\*). Zdobyte do 100 sztuk karabinów i 4 furgonów dawało tej potyczce charakter znacznego zwycięstwa, a Czachowskiemu ustaliło sławę i rzuciło postrach w szeregi wojska moskiewskiego. Również pomyslnymi były następne potyczki pod Jeziorkiem, Boryą, Bobrzą i Rusinowem, wszystkie z planu Eminowicza i przez niego prowadzone, gdyż poczciwy pułkownik (Czachowski) nie odstępował nigdy tyralierów; był wprawdzie zawsze w szeregach zagrzewając „wiarę“ do odwagi, ale nie troszczył się zupełnie o rozlokowanie oddziałów, rezerwy i bocznych straży, i nie myślał o zabezpieczeniu odwrotu, co wszystko zostawało zawsze na głowie Eminowicza, a co tenże ze zwykłą sobie przezornością i szybkością obmyślał...“

Tak zręcznie tedy kierował młody szef wszelkimi obrotami oddziału, że przez długi czas z największych nawet niebezpieczeństw wymykał się szczęśliwie, aż wreszcie ścigany bez ustanku przez trzy dni i noc i zaatakowany ze wszech stron przeważnymi siłami, rozbity został 11. czerwca 1863 pod Ratajami. Wtedy Czachowski podupadły na zdrowiu udał się z Eminowiczem do Galicyi i tam przez dłuższy czas pozostał; Eminowicz zaś, porozumiewszy się z Jordanem co do dalszych działań wojennych, powrócił niebawem sam w Sandomierskie, zebrał rozpięchłe rozbitki i stanął jako major na ich czele. Nie mając wszakże ani pieniędzy ani broni,

\*) Adjutant Karczewski.

\*\*) Sprzeciwiał on się tej egzekucji dla zapobieżenia okropnym skutkom odwetu.

a przytem party ustawicznie przez dragonię moskiewską, zmuszony był przejść pod Puławami za Wisłę i wkroczyć w Lubelskie, gdzie połączył się zaraz z oddziałem Cwieka (Cieszkowskiego), posiadającym broń zapasową. Wtedy dopiero uzbroiwszy swoich ludzi i zaopatrzwszy kasę pieniędzmi, zebranymi ze sprzedaży soli z magazynów rządowych, rozpoczął działania zaczepne, połączył się wkrótce z Ruckim i wraz z tymże i z Cwiekiem stoczył na dniu 5. sierpnia zwycięską walkę z Moskalami pod Chełmem i Deputycznymi, której szczegółowy przebieg podaje wspólny raport jego i Cwieka, ogłoszony w „Czasie“ z dnia 15 sierpnia 1863.

Po tej zaszczytnej rozprawie Eminowicz wezwany kuryerem wrócił pospiesznymi marszami w Sandomierskie, gdzie dla zrobienia dywersyi Moskałom wobec wkraczającego z Galicyi Jordana stoczył dnia 21. sierpnia dwie zacięte potyczki pod Blizinem i Przegorzałą; następnego dnia w połączeniu z Cwiekiem i Rudawskim walczył w bitwie pod Kowalem, a nazajutrz wkroczywszy w Radomskie uciekał się przez jakiś czas dość szczęśliwie z Moskwą, aż wreszcie napadnięty pod Wirem przeważnymi siłami, a nie wspierany należycie przez Cwieka i Rudawskiego, którzy nie chcieli stosować się do jego poleceń, postradał swój oddział, i sam zaledwie spieszną ucieczką zdołał ująć śmierci lub niewoli. Dokładne sprawozdanie o wszystkich tych pochodach i walkach zawiera własnoręczny raport jego, umieszczony w „Czasie“ z dnia 16. września 1863, a naoczni świadkowie i towarzysze broni nie tylko potwierdzają w zupełności podania jego, ale dodają jeszcze, że waleczny major był zawsze na czele szturmujących zagrzewając ich swoim przykładem, a w ostatniej chwili obsługiwał nawet sam swoją armatkę pomimo gęstego gradu nieprzyjacielskich.

Ta nieszczęśliwa potyczka przerwała na chwilę działalność Eminowicza, ale skorzystał on z tej przerwy udając się do Warszawy po dalsze instrukcje rządu narodowego. Tam otrzymawszy wiadomość, że Czachowski ma wejść z świeżym oddziałem w pobliżu Sandomierza, powraca jak najspieszniej w Sandomierskie, formuje oddział z 300 ludzi, uzbraja go w 3 dniach i prowadzi na odsiecz atakowanemu już Czachowskiemu. Zaledwie jednak doszedł do lasów Ilżyckich, o 6 mil od punktu zformowania oddziału, doszła go wieść, że oddział Czachowskiego został pod Klimentowem rozbity i sam dowódzca poległ w tej walce.

W tym samym czasie prawie nadeszło od rządu narodowego uznanie zasług Eminowicza wraz z nominacją jego na podpułkownika i tymczasowego naczelnika wojennego w województwie Sandomierskiem aż do przybycia pułkownika Zwierzdowskiego (Topora). Na tem stanowisku zebrał Eminowicz wkrótce nowy oddział, liczący 1200 ludzi, dobrze odzia-



nych i uzbrojonych w broń ręczną i dwa działa; ale tymczasem utworzyła się partya, nieprzychylna nowemu naczelnikowi, która w mniemaniu, że Eminowicz był zwolennikiem upadłego Jordana, postanowiła pozbawić go powierzonej mu władzy. Jenerał Bossak, mianowany w tym czasie naczelnikiem wojennym na trzy województwa, czy fałszywie objaśniony czy też osobiście niechętny Eminowiczowi skutkiem zaszłych z nim nieporozumień, odjął mu bez sądu stopień podpułkownika i komendę oddziału, i wysłał go na organizatora do powiatu sandomierskiego. Fakt ten, wynikły bez wątpienia z fałszywych podejrzeń, nie jest jeszcze dotąd należycie wyswiecony, a wszelkie z różnych źródeł podawane w tej sprawie objaśnienia tak są mylne lub wątpliwe, że niepozwalają nam stanowczo o niej orzekać, i dlatego poprzestajemy tu tylko na prostem jej przytoczeniu.

Sam Eminowicz jednak, jakkolwiek zawsze był skromnym i wolnym od wszelkiej próżności, nie mógł znieść obojętnie tego upokorzenia; szlachetne serce jego oburzało się na to, jako na krzywdę wyrządzoną sobie, i chociaż przywykły do karności wojskowej i rozumiejący jej znaczenie, uległ rozkazowi wyższej władzy i poszedł na wskazane sobie stanowisko, nie chciał przecież zostawać pod żadnym zarzutem i odniósł się do rządu narodowego żądając sądu. Gdy jednak odpowiedź przez dłuższy czas nie nadchodziła, a zdrowie jego dziewięćmiesięczną wojną i poniewierką po lasach nadwątlone wymagało poratowania, wyjechał w grudniu za urlopem do Wiednia.

Niedługo jednak zdołał wytrzymać tam beczynnim bolejący nad nieszczęściem ojczyzny młodzieniec, i z początkiem r. 1864 widząc słabnące coraz bardziej powstanie, a nie mogąc doczekać się odpowiedzi w sprawie swej osobistej, odłożył rozstrzygnięcie jej na później i pospieszył znowu na plac boju. Wszystkie pretensye i żale, wszystkie urazy osobiste złożył w ofierze ojczyźnie i wstąpił jako szeregowiec do oddziału Topora. Dnia 21 lutego brał już udział w napadzie na Opatów i odznaczył się niezrównaną walecznością; a gdy w połowie walki poległ dowódzca oddziału, objął z woli wszystkich kolegów komendę i na czele oddziału wpadł pierwszy z księdzem na

most zamknięty przez Moskali; ale tu obsypany gradem kul padł zaraz otrzymawszy niebezpieczną ranę w piersi.

Zmuszony potem ukrywać się przed Moskalami i przewożony z jednego miejsca na drugie, nie chciał dać się wywieźć do Galicyi, w nadziei, że wyzdrowieje i będzie mógł walczyć jeszcze; ale niestety do rany przyłączył się zabójczy tyfus i w kilku dniach przerwał jego krótki, ale pełen zasługi żywot.

Mówiono później, że właśnie w tym czasie jenerał Bossak, czy z wyroku rządu narodowego czy też z własnych pobudek, w uznaniu zasług i waleczności Eminowicza, przywrócił go do godności podpułkownika, a jak inni utrzymują, miał nawet nadać mu rangę pułkownika i wezwać go do objęcia oddziału; ale już było za późno, gdyż dzielny ten żołnierz zakończył 23 marca 1864 życie we wsi Górze.

Powszechnym jest głos towarzyszy Eminowicza z powstania, że gdyby był pod dowództwem swoim miał żołnierza wyrobionego, i gdyby rozkazy jego były ściśle dopełniane, oddziały nie byłyby tak często rozbijane i stokroć więcej byłyby osłabiły Moskwę. I wszyscy też przyznają mu przymioty rzadkie zaprawdę w porównaniu z innymi dowódcami. Zawsze łagodny i miły w obejściu z podkomendnymi, umiał on przecież utrzymać karność i być surowym tam, gdzie szło o ukaranie winnych. Nadzwyczajnie odważny i śmiały, nie tracił nigdy przytomności w najkrytyczniejszej nawet chwili, a jego obecność i przykład obudzały nadzieję zwycięstwa i dodawały odwagi żołnierzom. Dla przykładu też znosił on nieraz głód i nie używał żadnych napojów. Przytem odznaczał się jeszcze nadzwyczajną ścisłością i sumiennością w szafowaniu powierzonym sobie groszem; książeczka, którą nosił przy sobie, zawsze była zapełniona rachunkami z pieniędzy narodowych, które regularnie i wprost do rządu narodowego odsyłał. Słowem — śmiało rzec można, że było człowiek rzadkiej uczciwości i silnego charakteru, dzielny żołnierz, dobry dowódzca, a co najważniejsza — całą duszą Polak. I niechże przeto służy ku czci jego ta karta, którą w poczuciu słuszności dodajemy do pamiętnika narodowego!

FR. WALIGÓRSKI.

## DO UCZĄCEJ SIĘ MŁODZI.

Młodzieży szkolna! kwiecie w pączku młody,  
Którym przyszłości naszej sad zakwita,  
Jakaż to piękna słonecznej pogody  
W czasie rozkwitu pora ciebie wita!

Nam, co przed laty z tą samą nadzieją  
W światła i nauk zdążaliśmy progi,  
Z jakaż nam wtedy przeciwną zawieją  
Walczyć wśród naszej przychodziło drogi!



Jeszcze nie przebrzmiał dźwięk serdecznej mowy,  
Jaką nas matka zegnała i siostry,  
A już nas raził mistrza głos surowy,  
I ton nieswojskiej mowy jego ostry.

Otwarto kursa. Cóż to za męczarnie,  
Nabijać pamięć niestrawnym łykaniem,  
Spędzać półrocza, lata grzebać marnie  
Godnem papugi bezmyślnem paplaniem!

Uczono wiele — nauczano mało;  
Myśl w niepojętym błąkała się szumie —  
Zwożono światła — a rzadko świeciło  
I rzadko dniało w drzymiącym rozumie.

Obcą oświatę, mimo wstrętu, siłą,  
Jakby na dzicze, szczepiono na dziecku;  
Wyrosło drzewo — ale nie rodziło  
Ani po polsku, ani po niemiecku...

O ileż tobie, nasza młodzi szkolna,  
Wdzięczniejsze teraz jaśnieją widoki!  
Pragnąca wiedzy, pojętna i zdolna,  
O ileż łatwiej przyswoisz jej soki!

Pod dbałem świątłych przewodników okiem,  
Nie uschniesz młoda gałązko narodu!  
Dziedzinę wiedzy pewnym zmierzysz krokiem,  
Nie bez mozołu — ale bez zawodu.

Co naród pracą wieków nieustanną  
Złożył na przyszłość w duchowej skarbnicy;  
Jaką do Stwórcy spiewał pieśń poranną,  
Jakie słał modły do Bogarodzicy;

Jak gromił nierząd, karcił waśń naganną,  
Jak tworzył dzieje, przemawiał z mownicy;  
Czem się na puszczy zasilał jak manną,  
Jak Mojżeszową orzeźwiał krynicą:

Wszystko przed tobą, o młodzi szczęśliwa!  
Jak w złotolitej, różnowzorej wstędze,  
Rozwinie mowa jasna i treściwa  
W wykładzie ustnym i podręcznej księdze.

Wszakże i obcą nie pomiataj mową,  
Nikt się nauki nie obciążył zbytkiem;  
Myśl, w jakiegokolwiek obleka się słowo,  
Wspólnym ludzkości całej jest nabytkiem.

I pomnij na to, że zepchnięci z drogi,  
My za innymi zostaliśmy w tyle;  
Gdzieindziej w chaty padał promień błogi,  
U nas i szczyty zagrzebano w pyle...

Młodości! tobie wszystko jeszcze snadno;  
Wiele ten zdziała, kto czasu nie trwoni:  
W burzy, z skarbami, okręt poszedł na dno,  
Twojem zadaniem, wydzwignąć go z toni!

Jakub Zakrzewski.

## BIALI I CZARNI.

### POWIEŚĆ Z ŻYCIA LITEWSKIEGO.

SKREŚLIŁ JAN SYGMA.

(Dokończenie.)

Przeglądając fotografie osób ściganych natrafił na fotografię Jana, której przedtem z powodu zaniedbania służby nie widział. Dostrzegł, że rysy nie są mu całkowicie obce, lecz w pierwszej chwili nie zdołał ich jeszcze dokładnie rozpoznać. Począł więc uważnie przyglądać się fotografii, obracając ją na wszystkie strony. Ręką zasłonił brodę, popatrzył i nagle pobladł. To on — rzekł — to Rzeszotko; to za nim rozesłano listy gończe!

— Co się panu stało? — zapytał sekretarz.

— Przypatrz się tej fotografii: kto to?

— Nie znam — odrzekł.

— A teraz? To mówiąc przykrył znajdującą się na fotografii brodę.

— To Lambo, to Rzeszotko — zawołał przerażony sekretarz i pióro mu z rąk wypadło. — Wydaliście mu paszport; cóż wy teraz zrobicie, Aleksandrze Piotrowiczu? Kwita ze służby — bieda wam i bieda mnie! To nieszczęście! — cóż ja pocznę teraz?

— Czekaj — odrzekł Hryhorjew — jest jeszcze nadzieja. Trzeba tę sprawę pokryć. Fed'ko! — krzyknął.

— Słuszajus — odrzekł kozak, który się po chwili we drzwiach ukazał.

— Każ furmanowi zaprządz konie natychmiast.

Kozak odszedł z rozkazem. W pół godziny bryczka trójką z dzwonkiem zaprzężona stała pod gankiem. Stanowy narzucił płaszcz i szybko wskoczył do powozu.



— Daj boh błogopólnie (szczęśliwie) — rzekł podsadzający Hryhorjewa sekretarz.

— Paszo! — krzyknął stanowy.

Trójka pomknęła. Jechał pędkiem. W godzinę przebył dwie mile. Przybywszy do miasteczka, kazał zajechać wprost do mieszkania sprawnika.

— Nieszczęście — rzekł — stając przed naczelnikiem, który oraz był jego przyjacielem.

— Cóż się stało, Aleksandrze Pietrowiczu? Siadajcie, proszę was.

— Nieszczęście — powtórzył stojąc wyprostowany — zawińnięm, bardzo zawińnięm!

— Prawda on! Iotr! — zawołał sprawnik zaniepokojony. Jakżeście wydali bilet, jak wyglądał ten paszport, który podług waszego świadectwa był meldowany w stanie a następnie zgubiony?

— Nie było żadnego.

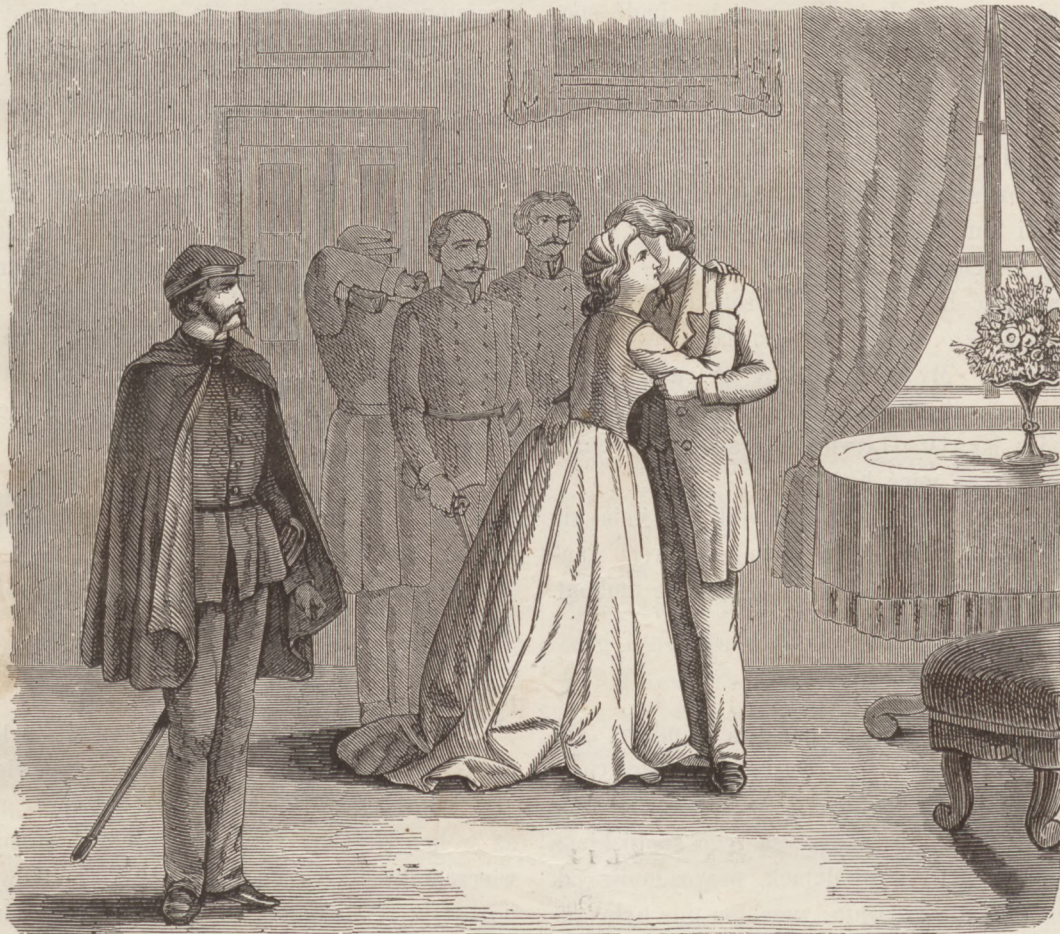
— A rozumiem — podkupili Polaczki, wzięłeś wziętku.

— Nie — odrzekł — inne powody, które zachowam w tajemnicy. Winowat (winienem) Wasze Wysokobłahorodie — dodał — prostując się jak struna.

— To źle.

— Cóż teraz będzie?

— Pójdiesz na Sybir — odrzekł sprawnik. — Przykro



O — mój Janie! — zawołała Anna i padła w objęciu męża. (str. 261.)

— Cóż to?

— Wydałem — rzekł wzdychając — bilet mniemanemu Francuzowi, nazywającemu się niby Lambo, który jest w istocie Janem Rzeszotkiem, ważnym przestępcą politycznym, który umknął z więzienia, i za którym listy gończe rozesłano.

— Jakto być może? Zmyślasz pan, a możecie wypili za dużo, Aleksandrze Pietrowiczu; przecież znam Francuza, niema w nim najmniejszego podobieństwa do Rzeszotki.

— Patrz pan! — odrzekł stanowy wydobywszy z kieszeni fotografię i zasłaniając brodę.

mi, ale muszę natychmiast wysłać sztafetę do gubernatora z raportem o twojem postępowaniu.

— Drag mój! (przyjacielu) — chciałżebyś mnie zgubić?

— Družba družboj, a służba służboj (przyjaźń przyjaźnią, a służba służbą); pójdiesz kopać złoto, to rzecz niezawodna; zanim odbiorę szczegółową instrukcję, pojedę sam aresztować Francuza, a ty pozostaniesz tu pod strażą. Oddaj mi szpadę, aresztuję cię w imieniu prawa.

— Jeżeli tak — odrzekł rozgniewany Hryhorjew — jeżeli mam iść na Sybir, to pójdziemy razem, będzie nam weselej! Napiszesz pan o mnie raport, to ja zeznam przy śledz-



twie, że mniemany Lambo półtora miesiąca ukrywał się w miasteczku pod okiem Waszej Wysokoblahorodji. Fotografję, podług której wyszedłem politycznego przestępcę, masz pan w policyi; przypatrywałeś się jej, widziałeś Rzeszotkę i musiałeś go poznać, a nie aresztowałeś, chociaż nie miał formalnego paszportu, to znaczy, wziąłeś pan u niego wziatku, rzecz jasna jak na dłoni. Będzie nam weselej kopać złoto razem — dodał uśmiechając się szydyczko.

Na takie *dictum acerbum* sprawnik bacznie popatrzył w oczy stanowemu. Spojrzenia dwóch kotów spotkały się ze sobą i porozumiały.

— Mołodziec! (zuch) — rzekł po chwili sprawnik i poklepał Hryhorjewę po ramieniu. — Zawsze spryt w tobie dostrzegałem, lubię cię za to. Rzecz zrozumiałeś, bądź spokojny; ani aresztuję cię ani raportu nie napiszę. Zagładzimy tę sprawę między sobą polubownie.

— I ja sądzę, że tak będzie lepiej, dlatego też otwarcie rzecz całą wypowiedziałem — odrzekł Hryhorjew. Zadowolone z tryumfu rozpromieniło go radością, jakiej doznaje gracz w karty, jeśli mu się szalbierstwo powiedzie.

— Podług mnie — ciągnął Hryhorjew dalej — należy niezwłocznie aresztować Rzeszotkę. W protokole napiszemy, żeśmy go jako świeżo do naszego powiatu przybyłego w drodze przytrzymali. My wynaleźliśmy go, nam należy się tryumf za aresztowanie przestępcy, napróżno dotąd po całym zachodnim kraju (Litwie) ściganego. Zamiast Sybiru i pan i ja krzyże mieć będziemy.

— Prawda, zuch jesteś — odrzekł sprawnik i zaśmiał się całą gębą. Biegnij do majora, niech weźmie czterech żandarmów, zaraz pojedziemy, aby nam ten gracz nie umknął.

## XII.

Domek młodego małżeństwa, państwa Lambów, był skromny i szczupły, ale ściany jego wystarczały, aby ciebie szczęście mogło się w nim zmieścić. Szczęście może się obejść bez pałaców, które nie zawsze są jego siedliskiem. Zresztą bogata panna mały swój domek przyozdobiła jak cacko. Na niczem tam nie zbywało: umeblowanie było gustowne, miejscowość poetyczna. Z okien o kilkanaście kroków widne były stalowe nurty żwawej rzeczutki Wilejki, zygzakami, ze szmerem do kaskady podobnym, wijącej się wśród zielonych dywanów łąk, różnobarwnymi kwiatami wyszywanych. W saloniku na stole leżały Tygodnik ilustrowany i Kłosa, które od miesiąca ledwie wychodzić zaczęły.

Stan mężatki i gospodyni domu, wymagający częstszego biegania z kluczykami, nie odebrał jej ochoty do literatury. Ale w tej chwili i kluczyki od szafek i tygodniki nietknięte jeszcze spoczywały. Młodzi małżonkowie nie nacieszyli się jeszcze sobą; dwa tygodnie ledwie minęło od ślubu; była to więc jeszcze epoka najmilsza w życiu małżonków.

Anna była ubraną w suknię różową materyalną. Na głowie już jako mężatka miała lekkie przykrycie, zielonemi wstążkami obszyte. Barwa zielona przy różowej sukni dosyć gustownie odbijała. Twarz Anny była cokolwiek bledsza, sentymentalniejsza, a oczy równym a może większym jeszcze blaskiem szczęścia jaśniały. Barwa ich niebieska przyczyniała się do uzupełnienia mozaiki otaczających ją kolorów. W oczach był lazur niebios. To pewna, że Anna w tej chwili była piękniejszą niż zwykle, i jeźliby każdego zachwyciła swojemi wdziękami, to w oczach męża była aniołem.

Spojrzeni na siebie, zbliżyli się, dłonie ich splotły się ze sobą. Jan ujął w pół żonę i pocałował. W tym pocałunku zamknęło się ich całe szczęście, zespoliły się dusze wzajemnem tchnieniem. Ze stanowiska psychicznego i antropologicznego uzupełniły się dwie istoty zamieniając się w jedną.

— Jasiu, wierzysz teraz w niebo?

— Teraz wierzę już — odrzekł.

Oboje popatrzyli w niebo otwartem oknem. Ale firmament z rana czysty i niczem, jak ich szczęście, nie zamglony, teraz zasępił się nagle czarnymi chmurami, grożącemi straszną burzą.

Ponura ciemność zaległa dokoła, a po chwili zabłysło powietrze i o kilkanaście kroków uderzył straszliwy piorun.

Anna krzyknęła okropnie i cała drżąca przytuliła się do męża.

— Czegoż się tak lękasz, moja droga!

— Straszno mi; nigdy nie lękałam się grzmotów, ale ten piorun dziwnie mnie przeraził.

— Jesteś trochę osłabiona Andziu, spocznij na kanapie — rzekł Jan całując ją w czoło.

— Nie, pójdę się modlić. — I wyszła strwożona do drugiego pokoju.

Po piorunie nastąpiła nagle cisza, która lękliwych jeszcze bardziej przeraża, gdyż jest zwykle zapowiedzią nowej burzy. Wiatr naprzód lekki stawał się coraz gwałtowniejszym, aż w końcu zawył straszliwy wicher, zginając aż ku ziemi wierzchołki drzew. Posypały się liście i owoce, z kwiatów pozostały tylko puste łodygi, ulatywały suche, oderwane gałązki. Wilejka szybszym popłynęła prądem, jakby i ona chciała umknąć przed burzą, przed którą pierzchała cała strwożona natura. Nagle deszcz lunął współ z gradem, bijąc w okna aż szyby dzwoniły.

Anna modliła się przez cały czas, jakby w przecuciu jakiegoś nieszczęścia. Wreszcie skończył się okropny dramat natury; wszystko ucichło i słońce wydobywszy się z za chmur zajaśniało znowu, piękniejsze jeszcze i czystsze, jakby skąpane we łzach nieba.

W tej chwili z pobliskiego pagórka dwie trójki zmokłych koni zwolna postępując ciągnęły dwie kibitki. W jednej siedziało trzech mężczyzn w wojskowe mundury ubranych, którzy mieli na głowach z szarego sukna wyso-



kie baszłyki\*) zasłaniające przed deszczem; w drugiej czterech żołnierzy w szarych szynelach (płaszczach) z czapkami niebieskimi w kroju kepi francuzkiej.

Przez ramię mieli przeciągnięte pasy, które podtrzymywały długie pałasze, a po drugiej stronie miał każdy z boku rewolwer. Byli to sprawnik, major żandarmerji i Hryhorjew w pierwszej jadący kibitce, a w drugiej czterech żandarmskich podoficerów. Zatrzymawszy się przed gankiem starszyzna wysiadła i udała się do pokojów. Jeden żandarm stanął przy drzwiach frontowych, a drugi zaszedł z tyłu i tam zamknął wyjście; dwaj inni weszli do pokoju z majorem. Sprawnik postępował na czele i wszedł do salonu z pistoletem dwururkowym w ręku, niezdając kepi. Obok niego szedł Hryhorjew.

— Stój, albo strzele! — zawołał na Jana, który w tej chwili nie wiedząc o niczem wychodził z salonu, udając się do pokoju żony.

Usłyszawszy krzyk zwrócił się, pobladł, lecz nie stracił przytomności.

— Co to jest? Czego panowie chcecie? — spytał po francuzku.

— Czy jeszcze grasz rolę teatralną? Aha, pojмали ciebie nakoniec hołubezyk! (złapaliśmy cię ptaszku). Zbieraj się prędko, pojedziesz z nami; tylko prędejj, prędejj, bo czasu nie mamy do stracenia.

— Zaraz — odrzekł Jan spokojnie jeszcze po francuzku.

— Co to? — zawołała wbiegając do pokoju Anna.

— Pani mężulek uda się w podróż, o! daleko, daleko... kto wie czy go pani kiedy ujrzysz. Cha, cha, cha! — zaśmiał się Hryhojew.

— O mój Janie! — zawołała Anna i padła w objęcie męża. Uścisk z obu stron był taki, jakby oboje chcieli nim skończyć życie i zespolonym w jedno duchem ulecieć do wysokości, aby tam ich szczęściu nikt już nie zawadzał.

Rozrzewniającą była scena żegnających się z sobą małżonków, którzy długo rozstać się nie chcieli. Prosty żandarm przy drzwiach stojący rękawem przetarł oko, na którym łza się pokazała, poczem wyprostował się jeszcze bardziej, aby major rozrzewnienia nie dostrzegł.

— Prędejj — krzyknął sprawnik — dość tych czułości, bo żandarmom każe was porozrywać. — Anna odeszła, spojrziała na męża i zapłakała.

— Nie — rzekła — ja ciebie Jasiu nie opuszczę!

— Ależ Anno, zastanów się.

— Pojadę razem — rzekła. — Czy można? — zapytała zwracając się do sprawnika.

— I owszem bardzo dobrze — odrzekł. — Rząd życzy sobie, aby element polski zmniejszał się coraz bardziej w zachodnim kraju (Litwie); możesz pani towarzyszyć mężowi, nic przeciwko temu nie mamy.

Oboje małżonkowie zostali wywiezieni kibitkami do powiatowego miasteczka, gdzie ich najprzód osadzono w ostrogu. Przesiedziawszy tam dni kilka w asystencyi żandarmów udali się do miasta gubernialnego, gdzie Jana stawiono przed komisją śledczą.

— Kto jesteś — zapytał prezydujący?

Jan wiedział, iż wszelkie dowody są w ręku komisji.

— Jan Rzeszotko — odrzekł.

— Pochodzenia?

— Szlacheckiego.

— Religii?

— Katolickiej.

— Byłeś w powstaniu?

— Byłem.

— W oddziale?

— Maćkiewicza.

— Gdy cię schwytano i osadzono w więzieniu, umknąłeś i błąkałeś się po różnych okolicach, pod przybranemi nazwiskami Kronenberga i Lamba.

— Tak jest.

Zeznanie było całkiem szczere; śledztwo skończono. Wkrótce zapadł wyrok pierwszej instancyi, to jest komisji śledczej, skazujący Jana Rzeszotkę na karę śmierci przez obwieszenie. Wyrok ten odesłano do Wilna do potwierdzenia. Podówczas był już Kaufmann gubernatorem Litwy. Dano mu instrukcyę surowego postępowania i prześladowania Polaków, ale polecono unikać kary śmierci. Za dużo już nawieszano, sam rząd nawet to uczuł, iż czas było tyraństwu kres położyć. Kaufmann więc wyrok pierwszej instancyi zamienił na taki, jaki za Murawiewa przed ucieczką Jana był wydany: skazano go na całe życie do kopalń irkuckich. Gdy konfirmacya wyroku z Wilna powróciła, przystąpiono do natychmiastowego spełnienia. Jan siedział jeszcze w stroju zwykłym w ostrogu. Teraz ubior dano mu aresztancki z grubego sukna. Pozbawiony praw stanu został etapem wysłany na Sybir. Anna nieodstępnie mu towarzyszyła. Z miasta etap wyszedł pieszo, za rogatkami dopiero oczekiwały go wózki chłopskie, mający wieść eskortujących żołnierzy i słabszych więźniów. Na czele postępował feldfebel, za nim pięciu żołnierzy od piechoty z karabinami. Następnie jakiś żyd wybladły, za zwykłą zbrodnię skazany, mający głowę i brodę do połowy ogolone, a na ramieniu na szarem suknie łątkę z złotego sukna, oznaczającą rodzaj przewinienia.

Żyd był za rękę przykuty do brodacza Moskala, zbójcy, z którym w parze postępowali; potem szło kilka kobiet. Za niemi postępował Jan obok Anny, a potem jeszcze kilku żołnierzy z bagnetami, tylną straż etapu stanowiący. Podówczas już mało było więźniów politycznych; prawie wszystkich na Sybir powysyłano, oczyszczając więzienia.

Z tego powodu etap, zawierający więźnia politycznego, stał się pewnego rodzaju nowością. Więzień był otoczony

\*) Rodzaj przykrycia na głowę, używanego dawniej przez Baszkirów, dziś w modzie u Moskali.



urokiem tajemniczości; znano go jako stroiciela najprzód Kronenberga, następnie Lambo. Teraz dowiedziano się, że jest w istocie Rzeszotkiem, że był w powstaniu i uciekł z więzienia. Publiczność chciała się przypatrzeć, jak wygląda Rzeszotko, którego miano za Kronenberga. Z tego powodu przy rogatkach zebrał się dosyć znaczny tłum i ciekawie przeglądano się etapowi. Gdy etap mijał publiczność, liczne łkania dały się słyszeć.

— Szczęśliwej podróży życzę pannie Annie — rzekł stojący wśród tłumu Hryhorjew. — Szkoda trzewiczków — cha, cha, cha! Nie chciałaś Hryhorjewa, umrzesz pani wśród drogi; szkoda takiej piękności! Cha, cha, cha!

— Słowo honoru, Anetko czego ty idziesz? O siostrzyczko moja najdroższa, czy ty kiedy powrócisz, czy zobaczymy się kiedy? Boże mój — bądź zdrowa! — wołał Ignasz.

Za rogatkami jeszcze pół mili szli pieszo, chociaż komie wózki towarzyszyły już etapowi.

— Siądźcie panienko; panienka się zmęczy — rzekł jeden z eskortujących żołnierzy. Anna usiadła na wózku a obok niej pieszo postępował mąż. Oboje milczeli; Anna zwróciła się w stronę miasta, z której widziała jeszcze kopuły kościołów. Popatrzyła w stronę okolicy rodzinnej, wspomniała o Widniskach... chciałyby jeszcze powrócić — pomodlić się na grobie matki; ale etap nie podzielał jej uczuć, nie zatrzymał się, nie wrócił, z nieubłaganą koniecznością losu postępując naprzód.

W Dynaburgu etap usiadł do wagonu trzeciej klasy (bez przedziałek), w którym na ławach mógł się cały zmieścić. Ztąd już inni żołnierze towarzyszyli więźniom, zmieniając się w miejscach ku temu przeznaczonych. Z Dynaburga na Petersburg jechali koleją aż do Moskwy. Ztąd etap postępował znowu pieszo z wózkami, na które więźniom wolno było kiedy niekiedy przesiadywać. Anna jako nie skazana, lecz towarzysząca tylko więźniowi, miała prawo jechać na całej przestrzeni. Jan skazany i pozbawiony praw stanu nie miał tego przywileju, lecz wyrobił to pieniędzmi, które feldfeblowi i eskortującym żołnierzom dawał na wódkę. Oboje więc jechali; lecz wózki postępowały stępo, stosując się do pierwszej części etapu; w skutek tego podróż z Moskwy do Irkutska odbywali nie mniej ani więcej jak dziewięć miesięcy. W Irkutsku Jan wysiedziawszy kilka tygodni udał się w towarzystwie Anny podobnym etapem do jednej z pomniejszych a najbardziej oddalonych kopalni, znajdującej się już niedaleko granicy chińskiej. Nie było to miasteczko, lecz rodzaj osady, tak zwane uroczyszcze. Znajdowało się tam kilkanaście domków, zamieszkiwanych przez posileńców, t. j. prze-

stępców drugiej kategorii, którzy skazani byli tylko na pobyt w Syberii.

Jana łańcuchami przykuto do taczki, która odtąd nierozłączną była jego towarzyszką; Anna zamieszkała w jednym z domków posileńców, z którego okien mogła codzień patrzeć na pracującego męża. Widywania się z nim rzadko i na bardzo krótko jej dozwolano. Z właściwą sobie troskliwością gospodarską Anna urządziła dosyć czystą izbę, którą u posileńców wynajmowała. Główną jej dążnością było, aby tajemnie dostarczać mężowi pożywienia lepszego, niż miał w kopalniach. Córka szlachecka tu będąc gospodynią, jeśli kucharkę gdzie wysyłała, sama niekiedy brała wiaderko i szła po wodę. Przy studni spotkała jednego dnia brodacza słusznego wzrostu, postawy silnej i imponującej. Popatrzyli wzajemnie na siebie. Anna dostrzegła, że twarz nie jest jej całkiem obca; kiedyś i gdzieś widziała tego człowieka. Brodacz spojrział na Annę i dostrzegł, że twarz nie jest mu obcą, kiedyś i gdzieś widział ją, lecz gdzie nie pamiętał.

— Ja was znam panienko...

— Być może — odrzekła.

— Jak się nazywacie?

— Anna z Olskich Rzeszotkowa.

— Olska! — zawołał i zmieszał się — Olska, Olska, panna Olska — mój Boże! my się tu spotykamy? Ha jakież ja głupi byłem, wybaczone panienko; ja na was zrobiłem donos.

— Kiedy i gdzie?

— Ja się nazywam Kołodziejów.

— Kołodziejów? — rzekła — coś przypominam sobie — i brwi zmarszczyła... A — to wy w naszej wiosce nawracaliście chłopów na prawosławie? Bodajby wam tego Bóg nie pamiętał!

— Stare grzechy, panienko; niema człowieka, któryby nie zgrzeszył; lecz Bóg panienko dobry, i pozwala człowiekowi przed śmiercią za grzechy odpokutować. Ha w dziwny sposób ja pokutuję! Prawitielstwo (rząd) zesłało mnie na Sybir za to, że mu wiernie służyłem!

— A to w jaki sposób?

— Długa historia, panienko; opowiem wam kiedy. A teraz powiedzcie, co wy tu robicie?

— Jestem z mężem skazanym do ciężkich robót w kopalni.

— Na długo?

— Do śmierci — odrzekła wdychając.

Kołodziejów westchnął także, pokiwał głową i odszedł ocierając łzę z oka.



## K R O N I K A.

### Z kraju.

(Od redakcyi.) Dobra rada droższą jest od złota. Szanowny nasz poeta Teofil Lenartowicz, przysyłając temi dniami redakcyi kilka prześlicznych poezyj, które z ilustracjami pana Młodnickiego, obejmującego z przyszłym zeszytem artystyczne kierownictwo „Strzecha“, umieszczone będą w następnych zeszytach naszego pisma, udzielił nam przy tej sposobności rady, ażeby „Strzecha“ jako pismo przystępne dla wszystkich klas społeczeństwa, otworzyło w kolumnach swoich stałą rubrykę do zapisywania i podnoszenia pięknych przykładów miłości bliźniego pomiędzy naszym ludem, twierdząc słusznie, że w czasie upadku na duchu podobne przykłady rozbudzają wiarę i dodają otuchy drugim. Nadmieniamy on też przy tej sposobności, że przed laty wydawał na emigracyi niejaki p. Krosnowski własnym kosztem przez długi czas mające taki sam cel piśmko pod tytułem „l' Exemple“, które nie miało wprawdzie wielkiego pokupu, ale którego myśl była arcyślachetna. Tę myśl tedy radzi nam podnieść p. Lenartowicz, dodając, że możnaby podawać nie tylko cnotliwych Polaków dobre uczynki, ale także Francuzów, Włochów, Niemców, a osobliwie wszystkich Słowian, i że podawania takich przykładów z Włoch on sam się podejmuje. Uznając wielką użyteczność takiej kroniki przykładowej przyjmujemy chętnie tę radę, i otwierając tego rodzaju rubrykę w naszym piśmie upraszamy każdego, ktoby wiedział o godnych podniesienia czynach cnoty lub poświęcenia pomiędzy ludem naszym, ażeby raczył przysłać redakcyi choć krótką ale pewną wiadomość o nich; szanownemu zaś wieszczowi dziękujemy całym sercem za tę radę i prosimy o dotrzymanie obietnicy.

(Zwłoki naszego nieodżałowanego artysty-malarza, ś. p. Artura Grottgera) spoczną przecież na ziemi ojczystej! Staraniem rodziny i przyjaciół, a głównie narzeczonej zmarłego panny Monné, sprowadzone zostało ciało artysty w tych dniach do Lwowa, i po uroczystym nabożeństwie żałobnym w kościele OO. Bernardynów i uczczeniu świątą mową poety Kornela Ujejskiego złożono je w murowanym grobie na cmentarzu Łyczakowskim. Na grobie postawiony będzie piękny pomnik utworu p. Filipiego, którego rysunek podamy później w naszym piśmie. A teraz zawołajmy chórem: „Cześć jego popiołom na ziemi ojców!“

(Fundacye ku wyposażeniu osierocalych dziewcząt). Mało znamy fundacyj tak pięknych i szlachetnych, jak istniejąca od kilkudziesięciu lat we Lwowie fundacja ś. p. Jana Łukiewicza ku wyposażeniu osierocalych dziewcząt. Zaczynając fundator wiedząc, że największym nieszczęściem dla dziewczyny jest sieroctwo, poświęcił cały swój majątek na to, ażeby co roku choć jednej sierocie osłodzić los wyposażeniem, mogącym ułatwić jej zamełcie, a w najgorszym razie zapewnić jakieś skromne i przyzwoite utrzymanie. W tym celu utworzył on rodzaj fundacyi loteryjnej postanawiając, ażeby co roku w dniu jego patrona św. Jana Chrzcici-

ela odbywało się w kaplicy u św. Zofii losowanie, przyczem jedna z sierót wygrywa posag, utworzony z procentów kapitału fundacyjnego, a wynoszący już teraz przeszło 4500 złr. w. a. Tak piękny czyn znajdzie zawsze naśladowców, i w najnowszych czasach powstały też za przykładem jego dwie świeże tego rodzaju fundacye, mianowicie ś. p. Elżbiety Czarneckowskiej dla jednej, i ś. p. Wincentego Łodzia Ponińskiego dla dwóch osierocalych dziewcząt, tak że od trzech lat już cztery sieroty otrzymuje w ten sposób wyposażenie. Czyż można — pytamy — użyć majątku na cel szlachetniejszy? A ileżto niestety trwoni się grosza na chwilowe fantazyje i zbytki, nie pomnąc na to, że są w życiu wyższe cele i obowiązki, i że bogactwo jest tylko depozytem Opatrzności, którego marnować się nie godzi!

(Album fotograficzne widoków kolejowych). Pan Józef Eder, jeden z pierwszych fotografów lwowskich, zdejmował na wezwanie dyrekcji kolei Kar. Ludwika wzdłuż całej linii lwowsko-krakowskiej widoki wszystkich stacyj i główniejszych budowli kolejowych, tudzież widoki miast: Przemyśla, Rzeszowa i Krakowa. Całe to bardzo ciekawe i piękne album, które mieliśmy już przyjemność oglądać w pracowni p. Edera, składa się z 36 widoków, i może być nabyte w całości albo pojedynczo po cenach bardzo przystępnych. Wszystkie zdjęcia, osobliwie miast, są bardzo starannie i pięknie wykonane, i możemy je sumiennie zalecić wszystkim miłośnikom sztuki.

(Z Poznańskiego) donoszą nam z końcem czerwca: Nasze miasto stołeczne Poznań wre obecnie myślą przyjęcia Sokoła. Komitet złożony z obywateli miejskich i wiejskich obraduje, urządza, czyni przygotowania — bo wszyscy radziby jak najlepiej galicyjskich przyjąć gości. Z początku odzywali się niektórzy przeciw projektowi całemu, lękając się, by tego demonstracją nie przewano, do czego pochopność zawsze jest wielka. Słabszemu łączno przyganią we wszystkim, i przy chęci najniewinniejszej. A położenie nasze jest tak wyjątkowo nieszczęśliwe, że i zaraz ogólną zwracamy uwagę. Serce wszelako pragnie zbliżenia się braci Haliczan. Rozdzielonym — podzielonym — sposobność ta świeci zbyt rzadko, że i nie znają się jednej ziemi syny — z ponad Sanu, Wilii, Dniepru, Wisły i Warty. To więc — gdy z góry żadna nie zaszła przeszkoda — należy z przyjaźnej pory korzystać, by dłoń bratnią uściśnić, by serce bratniem przemówiło ciepłem, by dusza pamięć wrażenia chwil tych przechowała na zawsze. Program przyjęcia spisany został. Poznań miłych wyczekuje gości. A zatem: Szczęść Boże!

Towarzystwo dramatyczne krakowskie wiele uprzyjemnia życie towarzysko-publiczne w Poznaniu. Ale, niestety, w tym roku teatr nie tyle bywa odwiedzany, jak roku zeszłego. Przyczyniają się do tego może upały, które do wysokiego dochodzą stopnia, a może i wybór sztuk niektórych, zbyt już znanych i wielokrotnie widzianych. Na przedstawieniu jednak Balladyny, Hamleta i innych jeszcze, teatr był przepelniony.



Susze u nas panują nieznosne, upały i wiatry, które zieloność warzą wiosny i warstwą pokrywają kurzu. Urodzaje są piękne, ale czyż im nie zaszkodzi ta susza?! Pod Poznaniem widziano już przed dni kilkoma pożyte żyto. Wszystko płowieje.

Otrzymałiśmy w ostatnich dniach z Lipska poezję: Z ubiegłych dni, jeden tomik. Nie masz na nich podpisu — lecz poznajemy twory naszego wielkopolskiego wieszczą, który tej niwie u nas, od czasów Ryszarda odłogiem leżącej, prawdziwy przynosi zaszczyt. Dochód przeznaczyl na rzecz wydawnictwa ludowego w W. Ks. Poznańskim. Śliczne to kwiaty, język piękny, wiersz jakby ulany, tak naturalnie płynie. Część swojej poetycznej wiązanki, Świeże dzieje, w których łzawe opiewa dole, kończy ustępem:

„Ziemio Piastowa! — zanim wyrok Pana  
Wygłoszon grzmiącą pierśią Archaniola,  
Z twymi cię syny do życia powoła:  
Zanim się zbudzisz — święta — nieskalana,  
A jako posąg mistrzowskiego dłuta,  
Bez skazy — jedno czerstwem życiem technąca:  
W ogniowych próbach — niby z stali kuta,  
I tak potężna — jakby od tysiąca  
Lat rządził tobą Chrobry lub Batory —  
Ziemio Piastowa! — zanim twa pokuta  
Za synów winy do kresu dobiegnie,  
I zanim szczęsnej doczekasz się pory: —  
Niejeden tysiąc twojej dziatwy legnie,  
Jak legli ojce na rodzinnej bloni:  
Ci z mieczem w ręku — a tamci nad plugiem —  
I wstaną zasię pokoleniem drugim,  
Orać i bronić cię będą jak oni.

#### *Ze świata.*

(Zemsta dziennikarza). Niebezpiecznie jest zadzierać się z dziennikarzami, zwłaszcza jeżeli się jest dyrektorem teatru. Jeden z gazeciarzy paryskich zemścił się za małe nieporozumienie z dyrekcją teatru „Ambigu“ następującym anonsem:

„Pies, widocznie dotknięty paroksyzmem wściekłości, uwijał się wczoraj po polach Elizejskich napadając kilka osób przechodzących. Ścigane odważnie przez żandarma, którego imię niestety nie jest nam znane, przeleciało to wściekle zwierzę przez Bulwary i schroniło się do teatru „Ambigu,“ którego brama była przypadkowo otwarta. Pomimo wszelkich poszukiwań nie powiodło się dotąd wysledzić jego kryjówki.“

Rozumie się samo przez się, że tego wieczora nie było żywej duszy w teatrze; artyści popisywali się przed pustymi ławkami; dyrekcja straciła w ciągu kilku dni 10.000 franków, i dopiero kilkakrotne ogłoszenia, zbijające tę wieść, zdołały zwabić znowu publiczność do tego teatru.

(Przestroga filantropa). Miano dojść teraz, że małżeństwa, zawierane pomiędzy krewnymi, przynoszą wielką szkodę ludzkości. Dr. Bernies w krainie Kentucky dowodzi to właśnie cyframi; obliczył on, że 10 pre. dzieci głuchoniemych, 5 pre. ślepych, a 15 pre. głupkowatych dostarczają szpitalom amerykańskim małżeństwa, zawierane pomiędzy krewnymi. Z tego powodu zakazane zostały takie małżeństwa w Kentucky i w kil-

ku innych stanach Ameryki północnej, i dr. Bernies ostrzega przeto wszystkich kandydatów do małżeństwa, ażeby nie żenili się ze swojemi kuzynkami.

(Próbka cywilizacji angielskiej). W Anglii istnieją liczne stowarzyszenia ku ochronie zwierząt, nawet kodeks tamtejszy nie dozwala wyrządzać żadnej krzywdy koniom, psom i kotom; ale człowiek, pan stworzenia, może przytem wszystkim być bydłkiem, i w kodeksie niema żadnego paragrafu przeciw szlachetnemu bokserstwu.

Niedawno dała Anglia znowu światu mistrzowską próbkę swojej filantropii. Dwaj bracia stryjeczni, imieniem Tomasz i Bennyon, nie mogli się porozumieć co do siły swoich kulaków, i postanowili przeto wypróbować ją na sobie. Założono się o 40 szylingów (około 13 talarów).

Pewnej niedzieli o godz. 7mej zrana wyruszyli obadwaj zapaśnicy z miasta w towarzystwie sekundanta, aptekarza z macściami i do 900 ciekawych, chcących przypatrzeć się walce. Przybywszy na plac boju, zajęli się sekundanci uformowaniem kola, a zapaśnicy swoją toaletą. Widzowie nie próżnowali także przez ten czas; porobiono niezliczone zakłady, znaczne sumy stawiano ze wszech stron.

O pół do ósmej rozpoczęła się walka, i obadwaj boksowali z takim zapałem, że do godziny dziewiątej starli się bez wypoczynku 75 razy. Sińców i guzów było już co nie miara, aż wreszcie Bennyon zadał tak potężny cios kulakiem swemu przeciwnikowi, że tenże potoczywszy się kilka kroków aż się zarył w piasku. Nieszczęście zaś chciało, że padając uderzył jeszcze głową o kamień, który sekundanci uprzętnąć zapomnieli.

Napróżno starano się go ocucić; leżał przez długi czas bez przytomności, a tymczasem świadkowie wydali wyrok, że Tomasz został zwyciężonym. Wygrywający zgarnęli wygrane stawki i otoczyli zwycięzcę, któremu krew ciekła po twarzy, a oczy opuchnięte sterczały jak dwie gule na głowie. Dla uśmierzenia puchlizny przyłożył mu aptekarz zraz surowego mięsa do twarzy, i tak oplastowanego odprowadzono w tryumfie do miasta.

Nazajutrz doniosły dzienniki brystolskie, że nigdy nie widziano walki równie świetnej, jak ta, ale nie dodały, że także równie nieszczęsnej, gdyż biedny Tomasz wyzionął ducha w kilka godzin potem, a był to młodzian pełen nadziei, liczący dopiero 23ci rok życia. Zwycięzca nie dozna pewno żadnej przykrości, gdyż zabił tylko człowieka, a władze pozwalają takiej walki. Gdyby zamiast stryjecznego brata był pokrzywdził wołu, byłby sąd bez namysłu skazał go z całą surowością prawa na kilkotygodniowy areszt i karę pieniężną. I ta Anglia ma pretensję do reprezentowania cywilizacji na świecie!

(Potwór wodny). Mieszkający we Florencji szanowny wieszcz nasz Teofil Lenartowicz donosi nam o następującej osobliwości, ogłoszonej najprzód w gazecie „La nuova Roma“ a potem powtórzonej przez dzienniki florenckie:

„Rybacy wyspy Ischia koło Neapolu zobaczyli temu dni kilka w czasie burzliwym w niewielkiej od wyspy odległości rybę-potwór całkiem różną od do dzisiaj znanych.

W chwili większego podnoszenia się morza dał się słyszeć razem z szumem wiatru ryk podobny do tego, jaki wydaje



lew zgłodniały, który z początku brali za szum wichru i wioslowali spokojnie do brzegu; ale słysząc powtarzający się ryk coraz bliżej i w pewnych odstępach regularnych, zwrócili uwagę na fale morskie, i jakież było ich zadziwienie i przestraszonych, kiedy na niewielką odległość od łódki ujrzeli masę ciemną bezkształtną, która zbliżając się z nadzwyczajną szybkością, zdawała się być rybą grubości niesłychanej.

Potwór mógł mieć długości około 6 metrów (10 łokci miary naszej) a grubości około 2 metrów, podobieństwo zaś miał do olbrzymiego węża, gdyby nie łeb z kształtu podobny do Orangutanga; dwa ogromne ramiona zakończone płetwami poruszały się na wodzie, otwierając się albo ściągając w miarę, jak potwór potrzebował zagłębiać się albo wypływać; ogon dwukończysty w powietrzu podniesiony z podobnemiż płetwami; paszcza nadzwyczaj szeroka z zębami dziwnej białości i długości, a szczególnie kły, które nie były krótsze od słoniowych; łeb i część wyższa cielska była okryta siecią najeżoną, a warga wierzchnia ogromnemi dwoma wąsami jak dwoma kudłami lwa; oczy ogromne czarne i uszy wiszące przy łbie uzupełniały okropny widok potwora, ścigającego z ciągłym rykiem aż prawie do brzegu biednych rybaków, którym bojaźń po stokroć pomnożyła siły, aby uniknąć tak straszego niebezpieczeństwa.

Cóż znowu na to powiedzą uczeni zoologowie i czy pozwolą, aby taki potwór niezapisany na ich rejestrach zamieszkiwał otchłanie morskie? Przyzwolić, byłoby to zgodzić się z poetami na smoki bajeczne i lwy morskie.

Włosi znani z uporu jako współbracia Galileusza utrzymują, że znajdują się na ich półwyspie w górach podobne bestje ziemne; jedną nawet nieco mniejszą zabił w Pistoii lat temu kilkanaście; opowiadają też o żabach wielkości beczki, i t. p. dziwy, którym kto chce, niech wierzy. Cobądz, lepiej żyć w naszym kraju, nieco zimniejszym, ale za to wolnym od podobnych gości.

(Zaćmienie słońca.) Dnia 18 sierpnia r. b. przypada całkowite zaćmienie słońca, a uczeni obiecują sobie z obserwacji nad niem ważne dla nauki o świecie zdobyć. Wiele szczęśliwych okoliczności składa się na to, żeby zaćmienie to uczynić znakomitszem, niż którekolwiek z czasów historycznych, jak równie z tych wszystkich, które już na kilka przyszłych wieków obliczeniem przepowiedziano. Tarcza słoneczna, z powodu wielkiej słońca od ziemi odległości, wydawać się będzie dnia tego stosunkowo małą; księżyc zaś mający słońce zasłonić, z powodu bliskości od ziemi będzie się zdawał stosunkowo wielkim, a bieg jego będzie taki, że cień od niego padać będzie na linię równika przez całe zaćmienie, które zatem widzialne będzie na ziemi najdłużej, jak tylko być może. Zbieg tych szczęśliwych okoliczności sprawi, że zaćmienie będzie widzialne na przestrzeni, mającej długości 2.000 a szerokości 30 mil, trwać zaś będzie dla najuprzywilejowanych miejscowości aż 6 minut i 50 sekund; tak długo żadne z wiadomych przeszłych zaćmień całkowitych nie trwało, ani w bliższych nas przyszłych wiekach trwać nie będzie. Całkowite zaćmienie rozpocznie się niedługo po wschodzie słońca na wyspie Perim i w Adenie; przebiegnie przed południem część Indij wcho-

dnich bliższą równika, w południe dosięgnie Tenasserim, po południu będzie w Anam; potem w Borneo, Celebes i wielu wyspach Moluckich będzie widzialne, a ku wieczorowi w Nowej Gwinei. Jeżeli stacje obserwacyjne na wszystkich właściwych punktach będą urządzone, jak o tem wątpić nie można, to owoc postrzeżeń powinienby być znakomity. Już Anglicy wybierali sobie punkta takie w Indjach; Francuzi w Kambodży i Malacce, austriacy astronomowie mają się usadowić w Aden. Hollendrzy zapewne nie zapomną o swej Nowej Gwinei. Główną czynnością obserwatorów będą pomiary astronomiczne, tak niezmiernie ważne dla mechanicznego kalkulu i geodetyki. Dla tego zaś całkowite słońca zaćmienia dla tych obliczeń są tak ważne, iż pozwalają najpoprawniej wskazać miejsce obydwóch ciał niebieskich słońca i księżyca. Obiecują sobie uczeni, że z mającego przypaść zaćmienia wyniknie lepsze obliczenie promienia (połowy średnicy) koła słonecznego. Dalej przypuszczają, że będzie można dokładniej zbadać światło zodjakalne. Ale nie koniec jeszcze spodziewanym obserwacji korzyściom. Nieregularności w biegu Merkurego każą wnosić, że między nim i słońcem istnieje nieznanne jakieś ciało niebieskie, którego z powodu małej jego od słońca odległości, ani w dzień ani w mroku rannym lub wieczornym odszukać nie można, tem mniej widzieć jego przejście przez tarczę słoneczną. Całkowite zaćmienie słońca jedyną ku temu podaje dogodną sposobność, a jednak daremnie szukano tego planety podczas zaćmień, jakie od dziesięciu lat się zdarzały, bo trwały zbyt krótko. Wysoki jest tedy interes naukowy z zaćmieniem tegorocznem połączony. Studya fotosferyczne, korony słońca (aureoli), błyszczących wyżyn i garbów na słońcu, będą także korzystać z tego zaćmienia. Nauka o widmach słonecznych, fotometria (nauka o prężeniu światła) i fotografia muszą być w pomoc astronomii przyzwane. Aparaty fotograficzne w wielkiej liczbie muszą być użyte do obserwacji, a daleko większa fotografistów liczba powinna je obsługiwać. Żeby mieć jeden dobry wizerunek fotograficzny słońca, trzeba ze trzy aparaty a sześciu fotografów. Im zaś więcej będzie dobrych wizerunków tem lepsze pojęcie rzeczy. Stacje obserwacyjne i fotograficzne powinny być telegrafem elektrycznym połączone ile można — więc znów telegrafistów pomocy należy wezwać. Słowem dla obserwacji kilkuninutowej ruchu co nie miara. Ale też okazała się jedyna, a skutki postrzeżeń powinnyby mieć wielką doniosłość. Nie dziwnego, że i Niemcy chcą w tem brać udział. Badacz przyrodzenia dr. A. Bernstein zrobił podanie do parlamentu celnego, o wyznaczenie okrętu na ów cel naukowy i 6.000 talarów, za które koszta wyprawy tej opędzić można podług niego bez ujemy naukowej sławie niemieckiej.

(Offenbach), znany fabrykant operetek, jest niezawodnie najszcześliwszym ze wszystkich kompozytorów pod słońcem. Podług obliczenia przedstawiono z czterech najnowszych operetek jego na teatrach francuskich: „Piękną Helenę“ 292 razy; „Barbe-bleu“ 172; „Życie paryskie“ 293; a „Wielką księżnę Geroldstein“ 243 razy, co czyni razem 1000 przedstawień. Ogólny dochód z nich wynosił 3,372,366 franków, a ponieważ kompozytor pobiera 6 proc. od dochodu, przeto otrzymał w ciągu jednego roku 200.000 franków, i to tylko z teatrów



paryskich. A biedny Mozart sprzedawał swój „Flet czarodziejski“ za kromkę chleba z masłem!

(Podróż około świata.) Wszystko odbywa się dziś na świecie z takim pospiechem, że na co dawniej lat potrzebowano, teraz kilka tygodni a nawet kilka dni wystarczy. Możnaaby rzec niejako, że człowiekowi udało się wynaleźć owe buty czarodziejskie, w których bohaterowie „Tysiąca nocy“ co krok milę, a co skok dwie mil robili.

Komuż naprzykład śniło się przed 50 laty jeszcze, że można objechać świat dokoła w 75 dniach? A dziś może każdy sam doświadczyć tego przy pomocy towarzystwa zaatlantyckiego. Program podróży tego towarzystwa około świata jest następujący: Z Europy do Nowego Yorku płynie się 10 dni; z Nowego Yorku do San-Francisco trwa podróż koleją żelazną 7 dni; z San-Francisco do Honkkongu w Chinach parostatkami 20 dni; z Hongkongu linią francusko-indyjsko-chińską napowrót do Suez 32 dni; z Suez koleją żelazną i morzem do Niemiec, Anglii i Francji 5 dni, razem 75 dni. I może być podróż szybsza i przyjemniejsza nad tę, gdzie zresztą wszelkie wygody nie pozwalają nawet znużyć się podróżnemu?

(Wystawa marynarska). Zaledwie skończyła się wielka wystawa świata na lądzie, przygotowuje już Francja nową wystawę na wodzie, która ma być otwartą na przyszłą wiosnę w porcie francuskim w Hawrze. Francja nie może się już obejść bez wystaw.

Już teraz układają programy wielkich uroczystości, z którymi ma być połączoną ta wystawa morska. Pomiędzy temi ma szczególnie jeden festyn przewyższyć wszystko, cokolwiek widział świat w tym rodzaju. Ten festyn ma się odbyć przy sposobności regat i wyścigów, rozumie się na morzu i nocną porą, przyczem naturalnie musi utonąć znowu pewna liczba ludzi.

Dotąd słyhać o programie tego festynu co następuje: Siedm- do ośmiuset jachtów i małych okrętów wszystkich krajów i narodów, które będą brać udział w tej wystawie, mają ustawić się w zatoce w potrójnym półkolu, wszystkie ozdobione w kolorowe lampy i pawilony swoje na masztach. Kilka okrętów wojennych, również oświetlonych, jako też statki parowe towarzystwa zaatlantyckiego, przyłączają się do tej olbrzymiej floty.

Na znak dany równocześnie ze stu dział spalony będzie na wyżynie St. Adresse wspaniały fajerwerk, którego ognie przedstawią wielki okręt, jaśniejący barwami wszystkich narodów; a równocześnie zagrmi orkiestra, złożona z czterystu do pięciuset muzykantów, przy wtórze armat tak potężnie, że drzyć będzie ziemia i morze.

Przeszło sto tysięcy cudzoziemców, jak obliczają już teraz, ma się zebrać na tę uroczystość. Francja spodziewa się przeto, że jak w zeszłym roku do Paryża, będzie teraz cały świat odbywać pielgrzymkę do Hawru. Jeżeli tak pójdzie dalej z festynami francuskimi, woleliby ci, którzy ląkną ich widoku, osiąść już stale we Francji dla oszczędzenia sobie kosztów podróży.

## ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1867.

Igła i pióro. Powiastka. Warszawa 1867.  
Sołdraczyński. Rzecz o ziemi naszej. Kraków 1867.  
Gwara złoczyńców. K. E. Warszawa 1867.  
Mierzyński A. Przyczynki do mytologii porównawczej. Warsz. 1867.  
Zbiór umiejętności kucharskich itd. S. M. Warszawa 1867.  
Krański Z. Poezye pośmiertne (wyd. M. Dzikowski). Poznań 1867.  
Mentzel. O hodowli owiec. Poznań 1867.  
Makowiecki. Banki zaliczkowe dla rzemieślników. Warszawa 1867.  
Leonowicz C. Danajda. Wojna przekupek. Warszawa 1867.  
Wzory sztuki średniowiecznej. Zeszyt 13, 14. (Przeddziecki. Rastawiecki). Warszawa 1867.  
Engelhardt F. B. Karte von Polen. Berlin 1867.

## Z ROKU 1868.

Geschichte der poln. Literatur übersichtlich dargestellt. Breslau 1868.  
O pocziwym Jonku i dobrej Marysi. Poznań 1868.  
Kalendarz Ungra. Warszawa 1868.  
Pütz. Historia powszechna. II. Historia Greków. Tłum. Gołębiowski. Lwów 1868.  
Zagadnik czyli ćwiczenia umysłowe. Kraków 1868.  
Syrokomli pisma. Poznań 1868.  
Instrukcja dla wydziałów powiatowych. Rzeszów 1868.  
Pol Winc. Powódź. Dramat. Poznań 1868.  
Anczyc. Opisy i przygody z podróży. Warszawa 1868.  
Kraków P. Wieczory domowe. Zbiór opisów, powieści dla dzieci. Warszawa 1868.  
Hempel J. Stanowisko pracy w rozwoju społecznym. Warsz. 1868.  
Wojnarowska K. Pierścionki babuni — i pisma. 6 tom. Lipsk 1868.  
Smoniewski J. W. Zbiór wiadomości o magistratach polskich i miasta Krakowa. Kraków 1868.  
Kochanowski J. Psalterz Dawidowy. (Wyd. L. Rzepecki). Poznań 1868.  
Kalendarzyk Chochlika 1868. Zagórski. Lwów 1868.  
Dębicki L. Kilka rysów z życia Piusa IX. Lwów 1868.  
Urbański W. Fizyka na 3 klasy. Warszawa 1868.  
Rycharski. Literatura polska II. Kraków 1868.  
Rośkiewicz J. Studien über Bosnien und Hercegowina. Leipzig 1868.  
Nowosielski T. Mali ludzie i ich świat. Warszawa 1868.  
Pruszkowa S. Nowe powieści dla młodzieży. Warszawa 1868.  
Kraków Paulina. Wspomnienia wygnanki. Warszawa 1868.  
Leclercq. Powieści prawdopodobne dla dzieci. Tłumaczył Chęciński. Warszawa 1868.  
Wesołe powiastki dla dzieci. Warszawa 1868.  
Dzieduszycki M. Powieść z dawnych czasów. Lwów 1868.  
Rosé J. K. dr. Wykład patologii i terapii narzędzi oddechowych. Warszawa 1868.  
Kaszewski K. On będzie moim. Komedya. Warszawa 1868.  
Zacharjasiewicz J. Zakazane owoce. Powieść. Warszawa 1868.  
Wiesiołowski Fr. Pamiętnik 1845—46. Lwów 1868.  
Szkoła 1868. Luty. Lwów.  
Kraków. Wieczory zimowe. Warszawa 1868.  
Turski. Antoni Morawski. Poemat. Kraków 1868.  
Dwa wywody polityczne. Austria. Francja. Kraków 1868. Brosz.  
Wspomnienie o J. W. Smoniewskim. Kraków 1868. Brosz.  
Langie K. O uposażeniu szkółek pocz. w kraju. Kraków 1868.